MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 17 WARSZAWA, 19 KWIETNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

MONARCHJA CZY PAŃSTWO NARODOWE?

CHCĘ podkreślić, że nie jestem osobistym nieprzyjacielem ustroju monarchicznego, chociaż w niniejszym artykule mam zamiar wypowiedzieć się przeciw monarchji w Polsce oraz przeciw wiązaniu monarchicznej doktryny z polską ideą narodową [1]). Monarchję bowiem uważam za tak samo dobrą formę rządu jak republikę czy też państwo totalne, ze wszelkiego rodzaju dyktaturami. Zasadniczo każda forma rządzenia jest dobrą, jeśli odpowiada warunkom i potrzebom narodu. Monarchja może ma nawet nad wszystkiemi innemi możliwemi ustrojami tę zaletę, że jest bodaj najwięcej wypróbowaną i elastyczną. A jednak sądzę, że w Polsce nie należy jej w obecnych czasach nietylko wprowadzać, ale nawet nie należy jej propagować.

Żeby powody mego stanowiska zostały należycie zrozumiane muszę najpierw porobić pewne zastrzeżenia co do przesłanek i tez pp. H. Eysymontta i L. Gembarzewskiego, którzy na łamach „Myśli" wystąpili z artykułami propagującemi monarchizm w Polsce.

Najpierw krótko zajmę się artykułem p. Eysymontta pt. „Wizja Polski Wielkiej." Mam w stosunku do niego właściwie tylko jedno zastrzeżenie. Oto autor manifestu monarchicznego zajął w stosunku do tak ważnego zagadnienia stanowisko raczej estetyczne. A przecież monarchja nie jest instytucją estetyczną; jest ona instytucją pochodzenia i przeznaczenia politycznego. Tego rodzaju stanowisko wiedzie autora do paradoksów, nieporozumień i magicznego traktowania monarchji. Szlachetnemu wizjonerowi polskiej korony wydaje się, że blask jej przeniesie nasze biedne życie w czasy Chrobrego. Tymczasem korona nie jest przyczyną i powodem potęgi i siły, tylko w pewnym sensie jej skutkiem. Autor opanowany marzeniem o polskiej monarchji przecenia także jej skuteczność. Przecenia ją zwłaszcza jako system organizacji entuzjazmu narodowego. Przecież we Włoszech do czasów wystąpienia Mussoliniego była korona, ale z entuzjazmem narodowym było wtedy wiele gorzej niż obecnie, za czasów działania genjuszu wodza faszystów, jego potężnej i sprawnej organizacji partyjnej oraz działalności ministerstwa propagandy. Mówiąc o monarchji nie powinniśmy tedy wpadać w mistyczne zachwyty, ale zachowywać się jak chłop, który ma kupić sobie konia do roboty. Realny chłop będzie go dobierał na jarmarku zależnie od pracy jaką go ma obarczyć oraz zależnie od tego co ma w kieszeni. Araba nie będzie nawet targować, chociaż jest on bezsprzecznie piękniejszy od naszych polskich koników.

Pan Leszek Gembarzewski oparł swój artykuł „Rzeczy tak proste" o wiele bardziej na przesłankach politycznych aniżeli p. Eysymontt. Propaguje on nawrót do światopoglądu spirytualistycznego, hierarchicznego (antyrównościowego), organicznego, opartego na dwu zasadniczych fundamentach: tradycji i krwi. Wysuwam jaknajdalej idące zastrzeżenia w kierunku obu tych fundamentów.

Najpierw może zacznijmy od tradycji. Zdawałoby się, że jest to fundament, którego narodowiec nie może i nie powinien atakować. Nacjonalizm przecież jest jakby w pewnym stopniu oparty na tradycji, nawiązuje do niej oraz z niej wyrasta. Pozatem jednak nacjonalizm ma jedną właściwość. Oto nie jest on nigdy zaskorupiałą doktryną. Prawdziwy nacjonalizm na tylko jeden punkt niewzruszony. Jest nim skuteczna służba narodowi. Wszystko zaś inne wobec tego ma wartość

[1]) Poglądy pp. H. Eysymontta i L. Gembarzewskiego w sprawach ustrojowych, zamieszczone w „Myśli Narodowej" w charakterze artykułów dyskusyjnych, wzbudziły żywe zainteresowanie w świecie publicystycznym. Jako dalszy głos w tej dyskusji, tym razem polemizujący ze stanowiskiem obu wymienionych autorów, zamieszczamy cenne uwagi wybitnego autropologa, docenta uniwersytetu poznańskiego, dr. Karola Stojanowskiego.

względną. Nawet tradycja ma dla narodowca wartość względną. Nie wszystkie tradycje wybieramy. Jest sporo takich, którym musimy się przeciwstawić. Czyż naprzykład musimy zachować tradycję tolerancji wobec żydów w Polsce? Czyż obóz narodowy nie przeciwstawił się skutecznie tradycji walki z Rosją? Trzeba to sobie dobrze uświadomić, że i dzisiaj Polska znajduje się w takiej sytuacji politycznej, która wymaga rewizji i bardzo skrzętnego wyboru uprownionych do wychowawczego użytku tradycyj. Pozatem nie można zapominać, że Polska przechodzi obecnie okres rewolucyjny, jest od kilku lat w okresie, który przyszły historyk nazwie okresem rewolucji narodowej. Tradycja w takim okresie, źle przez naród stosowana, może się stać hamulcem rewolucji narodowej, może ją zlikwidować. Oręża tradycji używa się przecież tylko w tych okresach życia narodu, w których trzeba konserwować, a konserwować znowu należy tylko to, co naprawdę dobrego. Ponieważ zaś istotnie cechą specjalną monarchji jest tradycja i konserwacja, przeto gdybyśmy dziś wprowadzili do nas monarchję, to mogłaby ona zakonserwować dzisiejsze choroby Polski.

Przejdźmy teraz do momentu krwi. Ponieważ autor przeciwstawia się w swoim artykule obecnemu porządkowi niemieckiemu, opartemu w pewnym stopniu na zasadzie krwi, przeto przypuszczam, że krew ma u niego znaczenie, że się tak wyrażę, średniowieczne, a zatem stanowo-klasowe, analogiczne do tego jakie się uwydatniło w dyskusji na tle wiejskich problemów, zwłaszcza w ich niecodziennem ujęciu przez dr. Staryszaka. Zagadnieniom krwi poświęciłem trochę studjów i trochę myśli. W rezultacie tych studjów doszedłem do wniosku, że w naszych warunkach jest tylko jedno zagadnienie krwi, które można dziś z pożytkiem dla Polski podnosić. Zagadnieniem tem jest sprawa żydowska. Krwi pod inną postacią, czy to taką jaka stała się obecnie modną w Niemczech, czy też pod postacią mającą w Polsce pewne tradycje, postacią krwi pańskiej i chamskiej, nie można wysuwać pod grozą poprostu upadku Polski. Obecna sytuacja dziejowa Polski wymaga współdziałania rozmaitych kategoryj krwi, ich współżycia i współpracy a nie walki. A bez walki nie udałoby się doprowadzić do jakichś hierarchicznych ustosunkowań opartych na podstawie krwi. Doktryny oparte na podstawie krwi, a odnoszące się do wewnętrznego życia tego samego narodu, są doktrynami niezgodnemi z ideą narodową. Nie znaczy to oczywiście abym negował wogóle znaczenie krwi w życiu narodu. Jako antropolog i to antropolog zajmujący się zagadnieniami społeczno-politycznemi zdaję sobie bardzo dobrze sprawę ze znaczenia krwi i rasy. Jestem jedynie zwolennikiem wolnej gry czynnika krwi w wewnętrznem życiu narodowem. Jestem bowiem głęboko przekonany, że tylko wolna gra przyniesie dodatnie skutki tak dla narodu jako całości, jakoteż dla samej krwi i jej wszechstronnych, przedewszystkiem zaś biologicznych interesów. Przecież dziś wszyscy na to się godzą, że przywilej zdegenerował naszą szlachtę ku szkodzie nietylko jej samej ale także i narodu.

Nietylko jednak powyższe zastrzeżenia pryncypialne mają zadecydować o naszym krytycznym stosunku do prób wprowadzenia monarchji w Polsce oraz do propagandy na rzecz tej instytucji. O wiele ważniejszym wydaje się mi zupełnie inny moment. Oto wydaje mi się, że monarchja może u nas walnie oddalić rzecz dla nas o wiele od niej ważniejszą, to jest realizację państwa narodowego. To, czy potrafimy zrealizować w Polsce państwo narodowe, jest rozstrzygające dla naszej przyszłości. Jeśli w najbliższych latach Polska stanie się narodową, to nietylko potrafimy się ostać wobec grożących nam niebezpieczeństw ale posiądziemy narzędzie do potężnej ekspansji cywilizacyjnej i politycznej. Jeśli natomiast będziemy dalej tak jak dotąd oscylować pomiędzy praktykami austrjackiemi i rosyjskiemi z okresu ich największego rozkładu, to naprawdę czekają nas bardzo ciężkie czasy. Mówiąc tedy jednem zdaniem, wysuwam twierdzenie, że w naszych dzisiejszych warunkach monarchja mogłaby nietylko zahamować proces unarodowienia państwa, ale nawet przy pewnych sprzyjających warunkach mogłaby utrwalić u nas na długi czas zasadę państwa narodowościowego.

Ażeby zrozumieć wyrażone powyżej obawy musimy się pokrótce zastanowić nad duchem monarchji oraz państwa narodowego. Zacznijmy od państwa narodowego. Przypatrzmy mu się w jego klasycznych przedstawicielach to jest faszystowskich Włoszech oraz hitlerowskich Niemczech. Państwa te cechuje przedewszystkiem dyktatura polityczna masowych partyj nacjonalistycznych. Partje te odznacza wielka dyscyplina wewnętrzna, zdobyta w okresie dochodzenia do władzy, potężny entuzjazm, wojskowa hierarchja. Partja taka narzuca takąż dyscyplinę, jaką posiada sama, państwu przez się rządzonemu. Na skutek tego rządy tych krajów mają w swych przedsięwzięciach wszystkie aktywne siły narodowe za sobą. Obie partje mają pozatem instytucję wodza, będącą konsekwencją ich prawie wojskowego czy też zakonnego sposobu organizacji względnie działania. Sądząc jednak z przykładu bolszewizmu rosyjskiego, który zorganizowany jest zupełnie podobnie jak oba wymienione ruchy narodowe (nie trzeba tu mieszać ideologji, różnej u nacjonalistów i bolszewików), partja tego typu zamiast jednego wodza może mieć także grupę przywódców. Charakterystyczny dla tego typu partyj dyktatorskich jak obie partje nacjonalistyczne jest pewien fatalny niejako mus służby dla idei, około której się one organizują. Partja tedy i jej przywódcy muszą głoszoną ideję realizować pod grozą śmierci politycznej. Nie jest wprost do pomyślenia aby Hitler czy Mussolini przestali nagle realizować głoszone przez się zasady. Masy zgrupowane około idei narodowej, ich uczucia i pragnienia nadają dyktatorskiej partji narodowej żalazną wprost konsekwencję w działaniu politycznem.

Zupełnie natomiast innego ducha, inną logikę działania, inne możliwości rozwojowe posiada monarchja. Monarchą ma większą swobodę ruchów, aniżeli wódz nawet najpotężniejszej partji, który znowu posiada większą choć jakby skrępowaną siłą. Ma on przedewszystkiem o wiele większą swobodę wyboru swych popleczników i stronników aniżeli wódz partji, skazany do końca swej karjery politycznej jedynie na swoją własną partję. Nadzwyczaj wymownej ilustracji na to moje twierdzenie dostarczyła ostatnia restauracja królestwa w Grecji. Restauracji tej dokonał tam obóz monarchistyczny razem z wojskiem przeciwko liberałom Venizelosa. Tymczasem król zawiódł ocze-

kiwania swoich popleczników i oparł swoje rządy na grupie Venizelosa. Sądząc go z greckiego, narodowego stanowiska, trudno robić mu z tego zarzuty. Wszak dokonał on zjednoczenia narodu greckiego. W każdym razie mógł on takiej przemiany dokonać i to dla nas jest najważniejsze. W naszych jednak stosunkach król, wprowadzony np. przez obóz narodowy, mógłby potem oprzeć się na obozie mniejszości narodowych, montowanym przez żydów, popartym przez polskie antynarodowe elementy.

Mówiąc o żydach dochodzimy do sedna omawianego zagadnienia. Trzeba zawsze pamiętać o tem, że dopóki mamy żydów w Polsce, mamy ciągle możliwość stworzenia u nas klasycznego państwa narodowościowego. Ani bowiem ukraińcy ani tem mniej białorusini nie rozporządzają taką siłą wpływów aby pretendowali do współgospodarzenia w Polsce. Ambicje takie mają jedynie żydzi. Poza ambicjami mają oni także możliwości potemu. Zajmują przecież w rozproszeniu terytorjum całej Polski, a siły gospodarcze i polityczne mają większe od swej siły liczebnej. Nie byłoby tedy nic dziwnego, gdyby żydzi, zawiódłszy się na prądach lewicowych oraz dyktaturze pomajowej, postanowili położyć jeszcze stawkę na monarchję. Pozostawałaby im następnie już tylko rewolucja komunistyczna, którą zresztą odpowiednio zaaranżowana monarchja mogłaby dość dobrze przygotować.

Żydzi mają w swojej tradycyjnej umiejętności politycznej bardzo duże, wypróbowane doświadczenia z monarchami. Wyrobili oni sobie dokładną znajomość wszystkich dodatnich i ujemnych stron monarchji. Z tej kopalni tradycyjnego doświadczenia czerpaliby oni niezawodne sposoby postępowania, zmierzającego ku opanowaniu monarchji i monarchy. Najważniejszą bronią byłyby tu pieniądze. Królowie potrzebują pieniędzy w stopniu o wiele większym aniżeli inni rządzący. Łatwiej jest i możliwiej pozatem przekupić króla-jednostkę albo jego doradców aniżeli wielką ilość członków wielkiego narodowego stronnictwa. Łatwiejszy jest dostęp do dworu królewskiego instytucji Esterek, aniżeli do sztabu generalnego narodowego stronnictwa autorytatywnie rządzącego.

Drugim ważkim czynnikiem politycznym, mającym w dzisiejszej sytuacji politycznej interes w monarchji, prowadzącej do państwa narodowościowego, są ukraińcy. Nie można zapominać, że mają oni w swej politycznej tradycji poważne doświadczenie wygrywania monarchji dla swoich celów politycznych. Przecież cała ich karjera polityczna wyrosła w oparciu o dwory cesarskie w Wiedniu i Berlinie. Na szalę polityczną mogą oni zawsze rzucić głębokie przekonania monarchiczne szerszych mas ruskich z byłego zaboru austrjackiego. Ukraińcy idąc na ugodę z polskim dworem królewskim robiliby to w takich samych celach politycznych, w jakich zawarli obecnie ugodę z obozem sanacyjnym oraz prawdopodobnie z żydami. Przedewszystkiem chodziłoby im o niedopuszczenie do rządów polskiego obozu narodowego. Oczywiście za żydami i Ukraińcami poszłyby i pozostałe mniejszości narodowe.

Jasne jednak jest, że gdyby tylko same mniejszości poparły tendencje związania monarchji z państwem narodowościowem, to niewieleby w naszem życiu politycznem wskórały. Do udania się akcji musiałyby one mieć poparcie pewnych polskich ośrodków społeczno-politycznych. Zachodzi pytanie czy czynniki takie znalazłyby się w naszem społeczeństwie? Nie ulega oczywiście wątpliwości, że tak. Najogólniej biorąc, byłyby to te same elementy, które w ostatniem dziesięcioleciu złożyły się na obóz zwany popularnie „sanacją". Urodzonym wprost kandydatem na poplecznika monarchji u nas są grupy konserwatywnych ziemian sanacyjnych. Posiadają one starą antynacjonalistyczną tradycję, zaszczepioną im jeszcze przez Bobrzyńskiego oraz chęć owinięcia się około tronu, aby na drodze przywileju otrzymać pewne znaczenie w Polsce, o które nie chcą się pokusić na drodze pracy i walki. Obóz ten jest także klasycznym przedstawicielem doktryny państwa narodowościowego, którą ochrzcił eufemistycznie ideą jagiellońską. A przecież mają „ideje jagiellońskie" szerszy oddźwięk w sanacyjnych sferach federalistycznych także poza ziemiaństwem.

Oprócz tego materjałem monarchicznym oraz popierającym państwo narodowościowe mogą się okazać niektóre koła biurokracji państwowej, niektóre czynniki wojskowe, pewna część kleru, zwłaszcza nastrojona antynacjonalistycznie, a nakoniec sporo aferzystów, ludzi bez politycznego oblicza i t. p. W pewnych warunkach mogą monarchji udzielić cichego poparcia także sfery lewicujące i radykalizujące, a nawet i komuniści.

Myślę także, że jeżeli istotnie tak jak to przypuszczam, żydzi mogą powziąć plan zafundowania nam monarchji, to oczywiście byłoby dla nich niesłychanie dogodną sprawą, aby początki propagandy rozpoczęły się bardzo daleko od obozu żydowskiego i jego przyszłych w tym względzie aljantów. A już szczytem szczęścia politycznego, a może nawet zręczności politycznej, byłby taki układ spraw, aby zaczątki propagandy wyszły właśnie z obozu narodowego. Dałoby to całej sprawie potrzebne *alibi* i kredyt wobec mas.

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, pragnę zaznaczyć, że mówiąc to wszystko o ewentualnych możliwościach wykorzystania monarchji dla celów państwa narodowościowego, ściślej zaś dla celów żydowskich, nie podaję żadną miarą w podejrzenie czystości intencyj pp. Eysymontta oraz Gembarzewskiego. Jeżeli postawiłem wszystkie kropki nad i, to uczyniłem to jedynie dlatego, aby zwrócić uwagę ogółu narodowego na niebezpieczeństwa ideologji monarchistycznej. Wedle mego przekonania, monarchja w Polsce mogłaby się stać koniem trojańskim dla zachowania i utwierdzenia żydowskich wpływów w Polsce. Zlikwidować te wpływy może jedynie państwo narodowe, państwo w którem rządzić będzie obóz narodowy. Jeżeli zatem znajdują się w obozie narodowym względnie wśród jego sympatyków monarchiści, to, mojem zdaniem, najbardziej przysłużą się oni idei monarchji, przystępując do akcji odżydzeniowej w Polsce. Nacjonalista będzie bowiem mógł mówić o monarchji dopiero wtedy, kiedy Polskę opuści ostatni żyd.

Jak zatem widzimy, pod skrzydłami monarchji znalazłiby się przy sprzyjających warunkach wszyscy przeciwnicy państwa narodowego. Niby się zatem w sytuacji politycznej nie zmieniło, powie zapewne niejeden czytelnik. Na to odpowiem, że bardzo dużo. Pomijam tu fakt, że do obozu przeciwnarodowego doszedłby w takim wypadku

monarcha ze swym dworem i z całą masą imponderabiljów monarchistycznych, które mają zawsze i wszędzie w Europie pewną wagę. Imponderabilia te pomiędzy innemi wprowadziłyby napewno ferment do obozu narodowego. Przecież jest sporo narodowców, którzy mają sympatje monarchistyczne. Po wprowadzeniu monarchji zacząłby być czynny w ich duszach proces wątpliwości i walki pomiędzy ideą narodową a monarchiczną.

KAROL STOJANOWSKI

PIERWSZY PROCES TALMUDU

III

PRZEBIEG trzydniowej rozprawy dostatecznie zdawał się wynikami swemi przesądzać losy Talmudu. Nie ulegało wątpliwości, że księgi w treści swej tak głęboko niemoralne, sprzeczne lub wręcz przeciwne istniejącemu rzeczy porządkowi, używając terminu naszych czasów, „ulegną konfiskacie" i w myśl ówczesnych zwyczajów i praw ogniem strawione będą, popiół zaś z nich na cztery wiatry, w cztery świata strony rozsypanym.

Stało się tymczasem coś wręcz przeciwnego.

Paryska gmina izraelska, przegrawszy sprawę jawnie i publicznie, nie ograniczyła się w kontrakcji swej jedynie do żarliwych modłów błagalnych i trzydniowego ścisłego postu. Gra się przecież toczyła o zbyt wielką stawkę — o losy i przyszłość „duszy żydowskiego narodu". Poszły więc w ruch wszelkie ukryte sprężyny, poruszono wszelkie możliwe środki, chwycono się najdalej idących sposobów. Z pomroki dziejów trudno dziś jeszcze wyłowić i odtworzyć dokładny rozwój zdarzeń, ustalić natomiast można z całą pewnością szereg następujących faktów. Przedewszystkiem więc płynąć poczęły dni, tygodnie i miesiące, a pergaminowe zwoje Talmudu leżały ciągle w klasztorach żebrzących zakonów, czekając na los swój, co równie zdawał się być żałosnym jak nieuniknionym. Ich niefortunni obrońcy nowym argumentem szturmować poczęli do serc i umysłów swych chrześcijańskich sędziów i panów. Oto Talmud niezbędny jest do należytego zrozumienia, pojmowania i właściwej wykładni Biblji, skoro więc Kościół uznaje i prawnie żydom zapewnia możliwość spokojnego i swobodnego obserwowania ich wiary, to winien im zachować konieczny, jedyny do jej przepisów komentarz. Temu argumentowi tolerancji religijnej, dobrowolnie przecież zagwarantowanej, towarzyszył apel gorący a pokorny do wielkoduszności, dobroci, wspaniałomyślności i wszelkich innych uczuć humanitarnych młodego króla i jego mądrej matki, do których ostateczna o losie Talmudu należała decyzja. Apel ten płynął od wielu najbardziej na dworze wpływowych osobistości, bliżej z licznymi żydowskimi bankierami, lekarzami czy kupcami związanych.

Były to bowiem czasy, gdy stosunki towarzyskie między możniejszymi panami świeckimi, czy nawet duchownymi, a bogatymi i znaczniejszymi żydami dość jeszcze były rozwinięte. Wprawdzie nie można było, w tym zwłaszcza okresie, zastosować do północnej Francji słów żydowskiego historyka, w ten sposób opisującego stan rzeczy w południowej, przed krucjatą przeciw Albigensom:

„Licznym spośród nich (t. j. żydów) udało się osiągnąć tak wielki dobrobyt, że mogli nawet swym panom, hrabiom, wicehrabiom (...) lub arcybiskupom pożyczać pieniądze. Tym sposobem zawarli żydzi z feodalnymi panami na podłożu wzajemnie sobie świadczonej pomocy niejako związek przyjacielski, co łagodziło napięcie zdawna zakorzenionego religijno-narodowego antagonizmu, a żydowskiej ludności zapewniało ochronę przed ekscesami katolickiej masy" [1]).

Niemniej jednak na początku panowania św. Ludwika dość znaczna jeszcze była na ziemiach jego władzy podległych liczba bogatych żydów i dość rozległe ich stosunki. To też nie małym być musiał nacisk na młodego króla, by zlekceważyć zechciał wyniki prac komisji śledczej, a nacisk ten powiększył się znacznie, gdy użyli żydzi najsilniejszego ze swych argumentów—złota.

Argument ten najbardziej skuteczny się okazał, uległ mu bowiem ni mniej ni więcej, jeno najwybitniejszy stanowiskiem wśród ówczesnych francuskich dostojników kościelnych—sam prymas królestwa, arcybiskup z Sens, Walter Cornut, uprzednio już znany ze swej niezwykłej dla żydów przychylności [2]). Na skutek jego interwencji, zajęte i już osądzone księgi z powrotem zostały żydom wydane.

Radość niezmierna zapanowała w paryskim Izraelu, a szereg uroczystości uczcił tak niezwykle pomyślne zakończenie groźnie zapowiadającej się sprawy.

Radość ta przedwczesną się jednak okazała, zaszły bowiem wypadki, których przebieg, wraz z poprzedzającemi je wydarzeniami, tak zwięźle referuje współczesny im kronikarz mnich, Tomasz z Cantimpré:

„Tej to księgi [t. j. Talmudu] różne egzemplarze na spalenie w Paryżu wydane zostały. Płacząc, przyszli żydzi do arcybiskupa, który królowi był najbliższym doradcą i za zachowanie ksiąg niezliczoną mu ilość pieniędzy wręczyli. Przekupiony udał się do króla i wnet młodzieńczy umysł do woli swej nakłonił. Więc dzień oddania ksiąg postanowili żydzi każdego roku obchodzić uroczyście, lecz [było to] napróżno, inaczej duch Boży rozrządził. Ściśle bowiem w rok od dnia, w którym księgi obrzydliwe zostały żydom wydane i w tem samem miejscu, t. j. w Vincennes blisko Paryża, wymieniony arcybiskup przybywszy na radę do króla, doznał gwałtownych we wnętrznościach swych boleści i tegoż dnia wśród okropnych cierpień życia dokonał. Uciekł tedy król z [tego] miejsca, z całą rodziną, nie wątpiąc, że arcy-

---

[1]) *„Viele unter ihnen gelangten zu so hohem Wohlstande, dass sie sogar ihren Seigneurs, den Grafen, Vicegrafen (vicecomes, vicomte, Statthalter des Grafen) oder Erzbischöfen Geldmittel vorstrecken konnten. So gingen denn die Juden und die Lehensherren, auf der Grundlage gegenseitiger Hilfeleistung, gleichsam ein Freundschaftsbündnis ein, was dem alteingewurzelten religiös-nationalen Antagonismus die Spitze abbrach und der judischen Bevölkerung sicherheit gegen die Excesse der katholischen Masse bot."* Dubnow *op. c.* IV, 131.

[2]) Fakt ten podają współczesne kroniki, nie negują go żyd. autorzy. Lewin *op. c.* 203 pisze: *„Für uns steht es also fest, dass Walther bestochen oder nicht, zu Gunsten der Juden gewirkt hat"*. Niemożliwem jest by tak wysoki dostojnik Kościoła zająć mógł w tej sprawie wręcz odmienne od swych władz stanowisko z innych niż materjalnych względów. Noël Valois *op. c.* 132 sądzi, iż przekupiony był Odon Klemens, arcyb. Rouen. Błędn. tego stan. wyk. w R. E. J. T. 1 s. 140—145 A. (rsene) D. (armsteter).

biskupa kara Boża dosięgnęła. Niedługo potem księgi żydów zabrane zostały pod karą śmierci i w ogromnej liczbie spalone" [3]).

Biorąc pod uwagę, że rozprawa przeciw Talmudowi miała miejsce w czerwcu 1240 r., nagła śmierć prymasa nastąpiła 21 kwietnia roku następnego, a spalenie ksiąg odbyło się piątek 6 czerwca 1242 r., można częściowo zakwestjonować za Grätzem [4]) wiarogodność przytoczonego opisu cudownego zdarzenia i uważać go jedynie za pisemny ślad ludowego przekonania, wiążącego nagłą śmierć przekupionego dostojnika z karą Bożą. Racji natomiast nie ma tenże żydowski historyk, gdy po opisie zgonu Waltera dodaje złośliwie:

„Spowiednik króla nie omieszkał suszyć głowy słabo myślącemu (*gedankenarmen*) Ludwikowi, twierdzeniem, że ten dostojnik kościelny poniósł karę za swą potępienia godną życzliwość dla żydów" [5]).

Z dużego odstępu czasu między śmiercią prymasa, a spaleniem Talmudu jasno wynika, że nie strach i obawa przed piekłem kierowały postępowaniem św. Ludwika. Ten z natury „dobroduszny", „wszelkim ziemskim dobrom niechętny", „koronowany Krzyżowiec" [6]) w tej, jak i we wszystkich innych sprawach rozważyć chciał i musiał wszystkie *pro* i *contra*, starannie porównywując argumenty prawdziwych sług Kościoła z temi, które mu przedkładali w fijolety nieraz strojni żydowscy obrońcy i protektorzy, wywody swe popierając żałosnem błaganiem równie przecież jego królewskiemu berłu podległych, izraelskich poddanych, którym był winien w imię swych monarszych, chrześcijańskich obowiązków zapewniać ojcowską opiekę.

*

Tak więc w dwa lata dopiero po publicznej rozprawie zapłonęły po raz pierwszy w historji, w piątek 6 czerwca 1242 r. na paryskim placu Grève stosy talmudycznych ksiąg. Zwiezione z przeróżnych stron miasta—przy radosnych okrzykach tłumu—na dwudziestu czterech wozach, rzucone na stosy smolnego łuczywa i polane łatwopalnym materjałem płonęły „*publice coram clero et populo*", w obecności władz duchownych, profesorów, doktorów i magistrów paryskiej Wszechnicy, pod okiem królewskiego *prévôt*'a, reprezentującego świeckie „władze bezpieczeństwa". Jasny blask płomienia napełniał serca chrześcijańskich widzów radością i błogą nadzieją, że po zniszczeniu źródła zła, prędzej i szybciej wróci zbłąkany Izrael na łono Kościoła.

Ponuro, strasznie i krwawo świecić natomiast musiał blask tych płonących stosów w oczy żydostwu. Było tak, jakby im serce wydarte zostało. [7])

Od *ghetta* do *ghetta* biegła lotem błyskawicy straszliwa wieść, budząc rozpacz, trwogę i przerażenie.

„Pytam się teraz, Ciebie, ogniem strawionego, cóż się stanie z tymi, co nad straszliwym twym losem łzy wylewają?"

Tak rozpoczynał żałosną swą elegję, paryskim wydarzeniom poświęconą, dwunastoletni zaledwie Majer Ben Baruch z Rotenburga [8]), równie żałośnie odpowiadał mu pod słonecznem niebem Prowancji starszy nieco Abraham Bedaresi z Béziérs. W obliczu wielkiego nieszczęścia cichły wewnętrzne spory, a żydowska legenda ludowa wnet wiązać poczęła spalenie Talmudu ze spaleniem przez Dominikanów w 1233 r. dzieł Majmuniego na skutek denuncjacji ortodoksyjnych rabinów, w pierwszem widząc wyraźną karę Boską za drugie.

Jaskrawy pisemny ślad tego popularnego przekonania zachowuje nam w dziełach swych, wydarzeniom tym współczesny, a części ich nawet naoczny świadek, uczony rabin Hilel da Verona, który, zapominając, że między jednem a drugiem istnieje przestrzeń lat dziewięciu, redukuje ją do dni zaledwie czterdziestu. [9])

Tak ciężko dotknięte żydostwo francuskie nie zaprzestało jednak walki o utrzymywanie swego talmudycznego charakteru: pozbawieni ksiąg, ustnie i potajemnie wszczepiali rabini zasady swej nauki w umysły i serca młodzieży, straciwszy zaś nadzieje na możliwość jakiejkolwiek pomyślnej dla siebie akcji na królewskim dworze francuskim, terenem jej uczynili święte Kolegjum kardynalskie i najbliższe otoczenie nowego papieża Inocentego IV, mimo że pierwsze tegoż w kwestji żydowskiej zarządzenia nic dobrego wróżyć im się nie zdawały. W niespełna bowiem jedenaście miesięcy po wstąpieniu na stolicę Piotrową, pismem z maja 1244 r. przypominał nowy najwyższy zwierzchnik Kościoła francuskiemu królowi o niedawnem spaleniu „dla zawstydzenia żydowskiej perfidji" Talmudu wraz z komentarzami i wzywał św. Ludwika, jako katolickiego monarchę i arcychrześcijańskiego księcia, był dał rozkaz palenia „tych przestępnych i potępionionych ksiąg" w całem swem królestwie. [10])

W pół roku potem zjedzie Papież do Ljonu i z tego miasta, w ciągu kilkuletniego w niem pobytu, kierować będzie w szczególnie ciężkich warunkach sprawami chrześcijańskiego świata. Przygotowania do Soboru ljońskiego (1245 r.), głoszenie 9 krucjaty, a w szczególności walka z zawziętym wrogiem rzymskiego Papieża, niemieckim „rzymskim" cesarzem Fryderykiem II, odsuną nieco na dalszy plan żydowskie sprawy.

I znowu niezmiernie trudne jest z pomroki dziejów odtworzyć to wszystko, co się *ad favorem judeorum* dokonało na papieskim dworze.

---

[3]) „*Th. Cantimpratensis Bonum universale, de Apibus*" R. E. J. I 143.

[4]) Grätz *Gesch. d. Jud.* VII 444, 445.

[5]) „*Der Beichvater des Königs wird wohl nicht verfehlt haben, dem gedankenarmen Ludwig die Hölle heiss zu machen, dass jener Prälat für seine fluchwürdige Begünstigung der Juden seine Strafe erlitten habe*". Tamże VII, 105.

[6]) ...„*von Natur gutmütig*"... „*allen irdischen Gütern abholde*"... „*Der gekrönte Kreuzritter*"... Dubnow *op. c.* V. 28 — 29.

[7]) „*Es war, als wenn ihnen das Herz herausgerissen worden wäre*". Grätz *Gesch. d. Jud.* VII, 107.

[8]) Późniejszy rabin powszechnie czczony dla swej talmudycznej wiedzy, jak i niezwykłej pobożności. Grätz taki daje przykład tej ostatniej: „*Die französischen Rabbinen hatten gestattet, im Winter am Sabbat die Zimmer durch Christen erwärmen zu lassen. Meir von Rothenburg mochte den Sabbat auf indirekte Weise nicht entweihen lassen. Er verrammelte sogar die Ofenthüre in seinem Hause, um den zuvorkommenden Dienerin, welche ihm mehrere Male ungeheissen den Ofen heizte, zu wehren*". *Gesch. d. J.* VII, 171.

[9]) Grätz *Gesch. d. J.* VII, 107, 177, 446.

[10]) ...„*ad confusionem perfidiae Judeorum publice coram clero et populo incendio concremarint, prout in literis eorum perspeximus contineri, quibus tu ut tanquam catholicus rex et princeps christianissimus impendisti super hoc auxilium congruum et favorem...... mandes per totum Regnum tuum ubicunque reperiri poterant, igne cremari. Datum Laterani V. Idus Maji, anno primo*". Cyt. Grätz *Gesch. d. J.* VII, 442.

W ruch poszły znowu prośby, zaklęcia i błagania, kunsztowne argumenty i wzniosłe do humanitarnych uczuć apele, a w ukryciu popłynęły obficie strugi złota. Dość, że w trzy lata po przytoczonej wyżej bulli majowej poszły nowe do Odona z Chateauroux i do św. Ludwika pisma. Zaznaczał w nich Papież, iż obowiązkiem jego jest nikogo nie krzywdzić, lecz każdemu oddać należne mu prawa, poczem donosił, że zwrócili się doń przedstawiciele żydów francuskich, twierdząc, „jako bez tej księgi, którą po hebrajsku Talmudem zowią, Biblji i przepisów swego prawa zgodnie z ich wiarą zrozumieć nie mogą”. Ponieważ zaś w myśl woli bożej trzeba żydów w wierze ich tolerować, polecał Papież Odonowi by powtórnie zbadał księgi żydowskie i zastanowił się, czyby Talmudu bez obrazy wiary chrześcijańskiej żydom nie było można zwrócić, miejsca w nim drażliwe poddając kontroli kościelnej cenzury, św. Ludwika zaś prosił o poparcie czynności kanclerza i o zapewnienie decyzjom przez niego powziętym należytego wykonania.[11])

Kto wie jaki obrót przybrała by rewizja dotychczasowego w sprawie przeciw Talmudowi postępowania, gdyby się w innych znalazła rękach. Odpowiedź Odona na bullę papieską kres kładła wszelkim nadziejom żydowskim, „pozornym sukcesem” na papieskim dworze rozbudzonym. „Podobało się Waszej Świątobliwości“ — donosił Odon — „bym te [księgi] tolerował w tych [częściach], którebym zgodnie z wolą Bożą uznał za możliwe tolerować bez obrazy wiary chrześcijańskiej i bym je zwrócił rabinom żydowskim” (*„Sancitati Vestrae placuit, ut eisdem tolerarem in his, in quibus secundum Deum sine fidei Christianae injuria viderem tolerandos et magistris restituerem Judaeorum*) poczem „przypomniawszy dokładnie etapy całej sprawy, poczynając od wniesienia przez Donina oskarżenia, a szczególnie podkreśliwszy, że ustalonem zostało, iż Talmud jest pełny błędów (*„Facta enim diligenti egzaminatione inventum est, quod dicti libri erroribus erant pleni”*), że zamiast oświecać żydów sprowadza ich raczej na manowce, wynaturzając sens Biblji“, nie waha się paryski kanclerz i kardynał-legat twierdzić jako oczywistem jest iż rabini oszukują Papieża i kardynałów „rzekomą niemożnością pojmowania i obserwowania Biblji bez pomocy Talmudu,” byłoby więc wielkim skandalem i wieczną sromotą dla Stolicy Apostolskiej, gdyby na jej rozkaz tolerowano, a nawet oddano rabinom żydowskim księgi, tak słusznie i uroczyście spalone w obecności Uniwersytetu, duchowieństwa i ludu paryskiego.[12]) Gdyby tak postąpiono, powszechnem było by mniemanie o przedajności Apostolskiej Stolicy. Niemniej donosi, iż jako posłuszny sługa papieski rozkazał żydom dostarczyć sobie ich księgi, ci zaś mu okazali jedynie pięć bardzo nędznych egzemplarzy, które polecił zbadać specjalnej komisji z czterdziestu uczonych i dostojnych mężów złożonej, która po starannem ich zbadaniu następujący wyrok wydała:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Skoro nam na rozkaz apostolski przez rabinów żydowskich królestwa francuskiego kilka ksiąg dostarczonych zostało, które się Talmudem zowią, zapoznaliśmy się z niemi i starannie je zbadaliśmy przez pewnych, w takich rzeczach doświadczonych, bogobojnych mężów chrześcijańskiej wiary.

Ponieważ uznaliśmy, że zawierają one niezliczone błędy, nadużycia, bluźnierstwa i nikczemności (*errores innumerabiles, abusiones, blasphemiae et nepharia*), które dla poczucia wstydu sprawozdawców i słuchaczy są okropnemi, mając na uwadze, że wymienione uprzednio księgi z woli Bożej, bez obrazy wiary chrześcijańskiej nie mogą istnieć, wiadomem czynimy za radą dobrze myślących mężów, umyślnie przez nas w tym celu zwołanych, że te księgi nie będą cierpiane, ani rabinom do użytku wydane i skazujemy je niniejszem formalnie. O innych księgach, które przez żydowskich rabinów nie zostały nam nam, mimo licznych wezwań, doręczone, albo też o tych, które jeszcze odszukanemi nie zostały postanowimy we właściwym czasie i miejscu i uczynimy to, co uczynić będzie należało.

Podpisani: Czcigodny Ojciec Wilhelm z Bożej łaski biskup Paryża, oraz 40 magistrów teologji, dekretów i innych uczonych mężów, wśród nich m. in. frater Albertus Teutonicus (Albertus Magnus), których pieczęć przy niniejszem wraz z naszą (t. j. Odona) położoną została roku pańskiego 1248 w miesiącu maju“.

Aby zaś pozostał na zawsze ślad po tak długo wlokącym się procesie, by nie zaginęły w ludzkiej pamięci odkryte błędy żydowskie i by nie można już było więcej przez nieświadomość uważać Talmudu za księgę możliwą do tolerowania bez jawnego dla wiary chrześcijańskiej niebezpieczeństwa, polecił kanclerz i kardynał-legat Odon biegłym w hebrajskiej mowie mnichom sporządzić w łacińskim języku wyciąg z potępionych ksiąg i dołączyć doń krótki opis wypadków wraz z najważniejszemi w tej sprawie dokumentami [13]). Poczem, w taki sposób zakończywszy *ad maiorem Dei gloriam* i dla większej *perfidiae judeorum confusionem* swe kanclerskie w Paryżu czynności, ruszył dnia 12 czerwca, jako legat Stolicy Apostolskiej w Ziemi Świętej, na krucjatę wraz ze świętym królem.

ANDRZEJ SZUMOWSKI

[11]) *„Innocentius Episcopus... Charissimo in Christo filio illustrissimi Regis Franciae... Ad instar animalium quae vidit in Apocalipsi. Joannes plena oculis ante et retro, summus Pontifex, occulatus undique circumspiciens tamquam sapientibus et insipientibus debitor, nulli debet iniusti nocere, sed iuste quod iusti exequendo tenetur reddere cuilibet iura sua. Sane magistris Judeorum regni tui proponentibus nuper coram nobis et fratribus nostris quod sine illo libro qui hebraicae Talemut dicitur bibliam et alia statuta suae legis secundum fidem intellegere nequeunt, nos qui iuxta mandatum divinum in eadem lege ipsos tolerare tenemur, dignum eis duximus respondendum quod sicut eos ipsa lege sic perconsequens suis libris nolumus iniuste privare. Unde venerabili filio nostri episcopo Tusculano apostolicae sedis legato reximus scripta nostra ut tam ipsum (Talamut) quam alios sibi faciens exhiberi (libros) ac eos inspici, et inspiciens diligenter, eosdem tolereret in his in quibus secundum Deum sine fidei christianae injuria viderit tolerandos et magistris restituat supradictis, contradictores per censuram ecclesiasticam appellatione postposita compescendo. Quocirca Serenitatem regiam rogandam duximus attentius et hortandam propter quod per eundem legatum factum fuerit in hoc parte gratum habeas et acceptum ac facias firmiter observari, Datum Lugduni secundo idus augusti, pontificatus nostri anni quinto.“ Bulles inédites des papes*, R. E. J. T. I.

[12]) *Histoire ecclésiastique par M. Fleury, prètre, abbé du Loc-Dieu, cy-devant sous-précepteur du Roy d'Espagne, de Monseigneur le Duc de Bourgogne et de Monseigneur le Duc de Berry. A Bruxelles, chez Eugène Henry Friox, imprimeur de Sa Majesté, vis-a-vis de l'Eglise de la Madelaine.* 1723. T. XVII s. 388—9. H. E. J. I 294.

[13]) Część I zawiera następujące rozdziały: *Prologus. De auctoritate Talmut. De sapientibus et magistris. De blasphemis humanitatis Xpisti. De blasph.* contra *Deum. De blasph. contra Xpistianos. De erroribus. De sortilegiis De sompniis. De futuro seculo et statu post mortem. De Messya. De stultitiis. De turpitudinibus et immunditiis. De fabulis.* Część II *Prolog. in sec. part.* Wyjątki z Talmudu według poszczególnych traktatów. Poranną modlitwę żydowską Krubot. *De articlis litter. Pape. Confessio facta in iudicio. Transcripta litter. super condemnationem Talmut editorum.* Całość nosi nazwę *„Excerptationes de Talmut”*. Jedyny całkowity egzemplarz, legowany niegdyś przez Mistrza Piotra z Limoges „Społeczności biednych Magistrów Sorbony” posiada obecnie paryska Bibljoteka Narodowa.

POLSKA A TURCJA 1683—1792

„...POZOSTAŁ w księdze dziejów fakt pełen znaczenia i wymowy, że kiedy żadne z państw chrześcijańskich nie ruszyło palcem w obronie napadniętej Rzplitej, wyznawcy Proroka bili się dla nas czy też o nas przez sześć kampanij, a pokonani, zbrodni podziałowej podpisem swym nie potwierdzili".

Tak prof. Konopczyński w niedawno wydanej książce [1]) mówi o jednem z najdziwniejszych zjawisk naszej historji. O tem, jak jeden z najzawziętszych naszych wrogów stał się w okresie naszego upadku jedynym może przyjacielem.

Polska i Turcja, walczące ze sobą stale w czasach największego rozkwitu obu państw, w okresie rozkładu i słabości, w obliczu rosnącej potęgi wspólnego wroga zaczęły szukać wzajemnego zbliżenia.

Już Jan III, popularny zwycięzca z pod Wiednia był tym, który próbował porozumienia z Turcją, Francją i Szwecją przeciw przyszłym państwom rozbiorczym. Prof. Konopczyński w jednym ze swych szkiców historycznych [2]) tak charakteryzuje usiłowania wielkiego króla: „Spróbował najpierw pójść za głosem tej racji stanu, w której wzrastał od młodości, a która kazała szukać punktu oparcia w państwach dalekich, jak Francja, i w jej sojusznikach przeciwko opasującym Rzplitą coraz groźniejszym potęgom Austrji, Brandenburgji i Moskwy". I dalej: „Dość rzucić okiem na mapę Europy po upływie stu lat, aby ocenić, po urzeczywistnieniu trójcy podziałowej, ile proroczego jasnowidzenia tkwiło w pierwotnej szwedzko-francuskiej orjentacji polityki Sobieskiego..." Ale obca intryga i ciemnota polityczna znacznej części narodu nie pozwoliły na przeprowadzenie tej jedynej prawdziwie polskiej polityki. Zwyciężyła koncepcja wojny z pogaństwem. „Chrześcijaństwo zostało ocalone od półksiężyca, ale nie od pogańskich dzieł tych późniejszych chrześcijan, co odpłacili Polsce rozbiorem" [3]). Już jednak w następnym roku po Wiedniu rozpoczynają się pokojowe demonstracje Polski i Turcji. Demonstracje te, przeplatane najazdami, trwają stale do śmierci Sobieskiego.

Bezkrólewie zrodziło przymierze rosyjsko-austrjackie, stawiając Polskę i Turcję wobec wielkiego niebezpieczeństwa. Bezkrólewie to rozpoczyna okres największego upadku myśli politycznej w Polsce. Turcja również przeżywa wtedy zmierzch swej potęgi.

Rozkład państwa polskiego jest tak wielki, że nawet polityka zagraniczna nie jest jednolita. Obok polityki oficjalnego rządu, istnieje zupełnie różna polityka opozycji, a obok nich występuje jeszcze trzecia polityka „familji".

W Konstantynopolu spotykają się posłowie króla i konfederatów, zwalczając się wzajemnie. Nic dziwnego, że Turcja, i tak niezbyt dobrze orjentująca się w stosunkach polskich, nie wie kogo właściwie należy traktować poważnie, który poseł reprezentuje naprawdę naród polski.

W rzeczywistości, i to jest rzeczą najgorszą, żadna partja nie reprezentuje niezależnej polityki polskiej. Czy to będzie król—Sas, czy Poniatowski, czy konfederaci tarnogrodzcy, czy barscy, wszyscy oni nie wyrażają rdzennej myśli politycznej polskiej.

Obaj Wettyńczycy prowadzą politykę przedewszystkiem saską, Poniatowski jest zależny od Rosji, Leszczyński jest narzucony przez Szwedów. Konfederaci też muszą liczyć się w mniejszym lub większym stopniu z popierającemi ich mocarstwami. Tak np. w latach 1709—1714 w Stambule, obok dyplomatów szwedzkich, rosyjskich, francuskich i austrjackich, działali również i Polacy, Poniatowski oraz Józef Potocki, a przeciw nim dwaj inni, również Polacy tylko z obozu saskiego, Golcz i Chomentowski. Gdy Poniatowski i Potocki reprezentowali myśl przymierza turecko-polsko-szwedzkiego przeciw Rosji, tamci właśnie w Rosji szukali oparcia przeciw „wrogowi chrześcijaństwa".

To też charakterystyka ówczesnej polityki Polski, wypowiedziana przez hana Kaplangireja, „że dotąd Polacy mieli dwóch królów, z których jednego narzucała im Moskwa (August II), drugiego Szwecja (Leszczyński), obecnie otrzymają trzeciego z łaski tureckiej (Franciszek Rakoczy)" [4]) jest najzupełniej słuszna.

Ale i Turcja nie była już potęgą, grożącą stale całej Europie. „Orjent głęboko niedomaga, skoro przez wiek XVIII nie umie skorzystać ani z wojny Sukcesyjnej Hiszpańskiej, ani z Polskiej, ani z Austrjackiej, ani z Siedmioletniej, kiedy można jednym skokiem sforsować Dunaj lub Dniestr, lub Don i odrobić straty karłowickie" [5]).

Czyż mogło być inaczej, gdy o polityce Porty rozstrzygał przez trzydzieści lat szef eunuchów, osadzając i strącając wezyrów, reis-effendich, muftich i hanów według swego „widzimisię"? Przekupstwo zaś dostojników państwowych tureckich było niemniejsze niż Ponińskich i Branickich.

Turcy, rozumiejąc nawet konieczność ścisłego współdziałania z Polską, nie mogli się na nie zdobyć. „Mogli zadecydować o losie Europy, lecz nie mieli odwagi". Nie mieli odwagi, a jeszcze bardziej nie mieli siły. Zaś ich naturalny sprzymierzeniec tej siły miał jeszcze mniej.

Pacyfizm za wszelką cenę dominował w polityce Turcji osiemnastego wieku. Droższy był Turkom spokój, niż przyszłe losy państwa, to też niezbyt chętnie dawali się wciągać we wszelkie konflikty. Choć rozum polityczny nakazywał przymierze zaczepno-odporne z Polską, trudno się było na nie zdecydować przy niepewności i niestałości stosunków we własnem państwie.

A zresztą—z którą Polską miała się Porta porozumieć? Z Polską Sasów czy Leszczyńskiego, Poniatowskiego czy prusofilskich „patrjotów"? Czy można było zbytnio angażować się w obronie konfederatów barskich, kiedy nawet i oni byli między sobą skłóceni i nie reprezentowali jednolitej myśli politycznej?

---

[1]) Władysław Konopczyński. „Polska a Turcja 1683—1792". Warszawa 1936. Str. 316.

[2]) Władysław Konopczyński. „Od Sobieskiego do Kościuszki". Str. 63.

[3]) „Od Sobieskiego do Kościuszki". Str. 65.

[4]) Polska a Turcja 1683—1792". Str. 72.

[5]) Tamże, str. 55.

To też stosunki polsko-tureckie w latach 1683—1792 charakteryzuje stałe, instynktowne dążenie obu stron do porozumienia, które jednak nigdy nie dochodzi do skutku.

W ciągu tych stu przeszło lat nie spotykamy się ani razu z całkowitem, zgodnem współdziałaniem obu państw, współdziałaniem, które, gdyby istniało, nie doszłoby może do rozbiorów Polski, ani do częściowego zaboru Turcji.

Gdy udało się przezwyciężyć nawet własną słabość i rozbicie polityczne, intryga wrogów nie pozwalała na to zbawienne sił połączenie.

Nawet niesławnej pamięci Boskamp zauważa w nieoficjalnem (na użytek Stanisława Augusta i Katarzyny) sprawozdaniu ze swego poselstwa do Turcji w 1777—78 roku: „Szczególna rzecz, jakie wrażenie robi imię polskie w uchu Turka: chcą niejako wyrazić, że jesteśmy towarzyszami niedoli, *juvat socios habuisse doloris*. Wręcz przeciwne i odwrotne robi wrażenie na nich imię Rosji. Nas traktują, jak braci, dobrych sąsiadów, starych przyjaciół—nawet u kobiet można zaobserwować takie objawy".

Ale tym zrozumiałym sympatjom nie towarzyszyła mądra polityka i to było Polski i Turcji nieszczęściem.

JAN BOLESTA

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

10. Do T. Lenartowicza.

[Grudzień 1857—styczeń 1858].

Kochany Teofilu!

Prosiłeś mię, ażebym pisał do Ciebie, „jeżeli kiedy będę bardzo boleśnie dotknięty".—Odpowiedziałem ci był z pomocą Bożą, że oto bardzo trudno o to, boć nie napróżno w odartym płaszczu jeździłem do drugiego bieguna.

Piszę więc nie dlatego, iż mnie co boli.

Mówiłem ci w ogrodzie Tuillerie na przechadzce, że „...będziesz jeszcze zupełnie zlekceważony i odarty z sławy twej i z powodzenia muzy twej, i dopiero wtedy mów ze mną o społeczeństwie tem, o którem wtedy mówiliśmy.

Mówiłem ci u mnie w domu, że te a te drobne niehistoryczności są w ostatnim utworze twym, i wskazywałem, jakiemi drogami czyta się niepisane słowo historyczne; — mówiłem o Juwenalu i o Berangerze, jako oni są przez krytykę czasową wskazówkami do odszukania serjo w epokach ich, etc... — cytowałem, gdzie Juwenal mówi o Gladjatorach.

Mówiłem ci, że trzeba odważnie główne fałsze społeczne czoło w czoło pobić, a będzie wszystkim swobodniej.

Wtedy prosiłeś mię, abym ci pozwolił wydać twoim kosztem, moją broszurą *Cienie*.

Odpowiedziałem, że inni i ty nagubiliście mi rękopismów mnogo, jako *Wandę*, *Słodycz* etc. i odpowiedziałem ci, że nie wierzę ci, abyś to zrobił.

Ale byłeś o to obrażony, więc dałem ci, mówiąc: „nie wierzę"... bo wątpiłem o dwóch rzeczach, o których w każdym umysłowo pracującym wątpię u nas, to jest: o akuratności i o odwadze, acz nie wątpię nigdy o hojności i zuchwalstwie.

Dalej — kiedy pisałeś mi jeszcze z Ostendy, że chcesz wydać w Rzymie, odpisałem ci: „nie wierzę".

Bądź zdrów!—Zrobisz mi wielką łaskę (i proszę cię o to), abyś nigdy mi o tem nie wspominał, nigdy się mnie nie radził, a gdy poradzisz się, — słuchał, i ażebyś, o ile jesteś w stanie nie zaprzeczyć tego, uważał mię za twego tego samego co lat trzydzieści kilka, — albowiem, jako widzisz, ten sam jest

Cyprjan N.

Jedna rzecz tylko niepiękna jest i nieprzyzwoita, to jest, że w takich razach nie pisze się do trzecich osób, które nic w tem mieć nie powinny były, ale pisze się prosto do osoby, której się należy, i pisze się: tak—tak, nie—nie.

Pisze się np.: „Kochany Cyprjanie. Miałeś słuszność nie wierzyć mi; lepiej znasz, czego dopiąć można pomiędzy umarłymi. — Nie zrobiłem, — zawiodłem cię, — ściskam cię serdecznie— i koniec".

Radzę ci tak mniej więcej postępować ze mną, bowiem zasłużyłem na to i chrześcijaninem jestem przez Łaskę Boską.

Bądźże zdrów.

Uwaga wydawcy: Autograf, bez daty i adresu, w Bibl. Jagiel., wśród korespondencji J. B. Zaleskiego. W liście mowa jest o wierszu Lenartowicza *Gladjatorowie* (1857) i o ataku Klaczki na ten utwór. Artykuł Klaczki ukazał się w *Wiadomościach Polskich* 1857 w listopadzie i grudniu. To pozwala ustalić bliżej nieco datę listu. Lenartowicz był w Paryżu w sierpniu 1857 i wtedy to mogły się odbyć wzmiankowane rozmowy o *Gladjatorach*. List pełen rozgoryczenia z powodu nierzetelności Lenartowicza w dotrzymywaniu obietnic. Widzimy stąd, że to Lenartowicz pierwszy miał wydać w r. 1857 w broszurze poemat *Cienie*, nieznany dziś, zatracony ostatecznie przez Siemieńskiego (zob. list Norwida z r. 1858 do A. Zaleskiego, ogłoszony przez dr. T. Prypkowskiego, *Testament literacki C. Norwida*, Kraków 1935), O jakich „trzecich osobach" mowa, — niewiadomo; w listach Lenartowicza do Zaleskich wzmianki o tych sprawach nie udało się znaleźć.

NA WIDOWNI

Początki literackie w „Klerykowie". — Pierwsze niepowodzenie. — Kult wiedzy i poezja. — Co czytaliśmy i co było przewodnikiem na rozdrożach.

PISAĆ w czasie Świąt Wielkanocnych? Witać wiosnę? Ani sposób, chyba wspominać młodość? Ktoś mi nawet wypominał, dlaczego starsza generacja nie opowiada, jak było dawniej. Jeśli tak, to opowiem o swoich początkach literackich [1]). Ktoby się niemi nie interesował, temu zwrócę uwagę, że będzie to pośredni przyczynek do młodości Żeromskiego, a wszystko, co tyczy powieściopisarzy, należy nawet do nauki szkolnej; Żeromski oddychał jednocześnie tą samą atmosferą.

A więc Kielce (Kleryków z „Syzyfowych prac"), a więc rok 1882. Z Wielkanocą owego roku wiążę ciężkie wspomnienie literackie.

Nauczyciel nasz, słynnywówczas filolog Antoni Gustaw Bem, zadał szóstej klasie na Święta Wielkanocne wypracowanie: „Jak spędziłem święta?" Wiosna była piękna, nie trudno było o natchnienie. Był to pierwszy mój feljeton, bardzo poetycki. Wychwalałem wiosnę, ale czułem, że było to zbyt osobiste i że trzeba się powołać na jakiś autorytet. W szafie ojca była bibljoteczka klasyków Bobrowicza; tam w tomiku Drużbackiej wynalazłem „Opisanie czterech części roku". Machnąłem stąd parę cytat, świadczących, że już w XVIII wieku wiosna bywała ładna.

Tymczasem to mnie zgubiło, Bem nie uwierzył, iżbym osobiście mógł znać Drużbacką, wyraził wogóle wątpliwość, czy sam rzecz napisałem. Nie pomogły moje zaklęcia! Śmiał się jak szatan. I to była rana, pierwszy cios w moją ambicję literacką.

Ale mniejsza z tem. Chciałbym parę słów poświęcić naszej wiośnie duchowej z paru ostatnich lat szkoły. Jaka wtedy była atmosfera umysłowa?

Mam przed sobą zeszyt, w którym wówczas to i owo zapisywałem. Są tu znaczące urywki z liryk: Gomulickiego, Słowackiego, w których się widziało odpowiedź na niepokojące pytania, co to jest miłość, są maksymy ze Smilesa o charakterze, z Emersona, Ochorowicza, Wirgiliusza *(Una salus victis — nullam sperare salutem)*, Szekspira, Swiętochowskiego, Krasińskiego („Nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi"). Najwięcej jednak miejsca zajmują tyrady na cześć wiedzy. I to jest charakterystyczne dla tych czasów.

Szkoła nie mogła kultem wiedzy natchnąć. Powiew szedł ze świata. Była to Wiedza przez duże W., na której cześć śpiewał wtedy hymny pozytywizm. Nie brak też w kajecie maksym odpowiednich, a wszystkie z wykrzyknikami:

— *Multi pertransibunt, sed augebitur scientia!*

— Przybytek umiejętności jest świątynią demokratycznego ducha — było to z Tomasza Buckle'a.

To też po maturze zapisalem z całem przekonaniem już swoją sentencję:

— „Wiedza to góra niezmierzona. Z oddali wydaje się małą, możebną do przebycia. Zbliska przeraża swoim ogromem, jak każda nieskończoność. Wobec niej ludzie wszyscy są równi, bo równają się zeru".

Znajduję też z tego czasu bruljon wiersza, który zacząłem strofą:

Patrz! Wiedzy strzelista piętrzy się góra,
Wyżej gwiazd sięga jarzącemi szczyty —
Trzeba zaiste anielskie mieć pióra,
By wzlecieć duchem na te błękity.

Cokolwiek bowiem młodość w hasłach głosi, zawsze poruszają się u ramion skrzydła anielskie poezji.

W mojem *Silva rerum* znajduje się spis pierwszych utworów literackich, które na użytek kolegów od szóstej klasy pisałem. Widzę tam takie tytuły: „Cicho! libretto do operetki. — Sen jednego z naszych" (zima 1882). Oba te utwory były wierszem, a treścią ich miała być satyra na złe zachowanie się kolegów podczas lekcji nieszczęsnego nauczyciela francuszczyzny, Potrykowskiego. Inny utwór p. t. „Wizerunki sławnych ludzi, odbite działaniem czasu na siedzeniach ławek szkolnych" (kl. VII) były prozą. Ale owe wierszowane nie miały pretensji do poezji. Zachowałem przypadkiem ów „Sen jednego z naszych". Chcąc podziałać na wyobraźnię etyczną kolegów, napisałem fantazję, jako że śniło mi się, iż stawiano mię przed sąd Boski za krzywdę wyrządzoną Potrykowskiemu. Motto było z Goethego:

Nie wiem, skąd mnie ogarnia niebieskie natchnienie,
Czy mię czasem nie rzuci aż pod gwiazd sklepienie.

Była to więc publicystyka szkolna, dziecinna, a jednak — może nie bez wpływu, bo obyczaje istotnie szlachetniały. Wielkie w tym względzie znaczenie miał ruch umysłowy, polegający na samokształceniu równoległem do nauki szkolnej.

Nasze dwie ostatnie ławki zyskały nazwę „cukierni", a to dla tego, że czytywało się czasopisma, co przypominało kolegom czytelnię w cukierni. Podzieliwszy między siebie obowiązki prenumeraty, sprowadzaliśmy przez księgarnię Goldhara: „Prawdę", „Przegląd Tygodniowy" i „Bibl. Najcel. Utworów". Za czasopismami nastąpiły książki, których tak wiele a tanich wydawał „Przegląd Tygodniowy". Zrodziła się pod tym względem pewna emulacja, którą umiała podsycać księgarnia. W Kielcach nie było jeszcze wtedy kolei, transporty warszawskie do księgarni nadchodziły tylko w pewne dni tygodnia. Czekaliśmy na nie niecierpliwie; do nowości nadciągała młodzież i nielicznie profesorowie; tam w tylnym pokoju księgarni spotykało się wszystko, co w Kielcach reprezentowało niejaką do książki skwapliwość.

Żeby dać miarę gorliwości naszej poznawczej i bibljofilskiej, przytoczę, jak wyglądała moja bibljoteczka prywatna. Znajduję dość dokładny spis w notesie.

Zaczęło się od skupywania poezyj. Bardzo ułatwiały wtedy to zadanie wydawane bibljoteczki. Nieoceniona była, choćby ze swej taniości, Bibljoteka Mrówki, wydawana we Lwowie przez Księgarnię Polską Bartoszewicza i Biernackiego. Mam przed sobą kilka tomów oprawionych zbiorowo według autorów: Mickiewicza, Syrokomli, Goszczyńskiego. Podobną formatem bibljoteczkę wydawał Gubrynowicz i Szmidt. Mam stąd Słowackiego szereg utworów, wszystkie z datą wydania 1879. Owe wydania lwowskie sprowadzała do Kielc księ-

[1]) Oprę się w tej opowieści na danych ogłoszonych w „Pamiętniku Koła Kielczan" za r. 1928.

garnia Saula Rosenblatta. Niektóre tylko były cenzuralne i dozwolone (Syrokomla) i na nich Rosenblatt kładł swoją pieczątkę; inne sprzedawał chłopcom potajemnie.

W ten sposób doszedłem do posiadania Mickiewicza (Pan Tadeusz, 2 t. wykładów i in.), 18 tomików Słowackiego (był tam ks. Marek, Król Duch, Anhelli, Kordjan) 2 Krasińskiego (Przedświt i Psalmy przyszłości), 6 tomików powieści Goszczyńskiego, 3 tomy Pola, 13 Syrokomli, byli tam Malczewski, Brodziński, Zieliński Gustaw, Klonowicz, B. Zaleski, Szewczenko. Z innych wydań pochodziły Goethego Cierpienia Wertera, Heinego Listy z Berlina, Melodje hebrajskie, Szkice z podróży, Sofoklesa Antygona i Elektra w przekładzie Węclewskiego, Arystofanesa Rycerze. Z Bibljoteki najcelniejszych utworów miałem już oprawnych kilka dzieł: Rzewuskiego, Bronikowskiego i in. Były W. Hugo (*Notre Dame*), Niemcewicza Jan z Tęczyna, Sienkiewicz (5 pierwszych tomów i in.).

Ciekawy był dział naukowo-filozoficzny, ten w dużej mierze od Wiślickiego pochodził: Smilesa Pomoc własna i O charakterze, Legouvé Ojcowie i dzieci (to były rzeczy serdecznie czytane), Bain Umysł i ciało, Spencer O charakterze kobiety, Emerson Roboty i dnie, Przedstawiciele ludzkości, Wiśniewski Myśli o ukształceniu siebie samego (Orgelbrand 1873), Ribot, Sieczenow Odruchy, Flammarion Życie Mikołaja Kopernika, Zaborowski Człowiek przedhistoryczny, Jevons Ekonomja polityczna, Büchner Dziedziczność, Struwe parę tomików.

Interesowała nas kwestja wolności woli, stąd Renarda Czy człowiek ma wolną wolę, Ochorowicza O wolnej woli.

Osobno literatura. Dumą moją było posiadanie 2 tomów Scherra Historji literatury powszechnej, wydanej świeżo (1883) u Gebethnera i Wolffa. Kosztowała mnie 5 rubli, Miałem 2 tomy Carriere'a Sztuka i literatura XVIII i XIX w. (3 r.), Dmochowskiego o Brodzińskim, Chlebowskiego o Kochanowskim, Spasowicza o Syrokomli i Polu, Chmielowskiego Poezja w wychowaniu, Kobiety Mickiewicza i t. d.

Z historycznych dzieł miałem 2 t. Bobrzyńskiego, Szkice historyczne Jarochowskiego, dr. Antoniego J., Biernackiego Hołdy pruskie i in.

Ozdobą bibljoteki były dzieła Schillera, kupowane zeszytami, bogato ilustrowane w wydaniu Zippera (u Altenberga we Lwowie). Do matury miałem już 18 zeszytów. A potem miłe wydanie Liry Polskiej (u Świeszczowskiego w Warszawie). Miałem 5 tomików. Kosztowały rb. 2.50.

W notesie znajduję taką notatkę.

„Książki zbierać zacząłem z początkiem 1882/3. Z końcem tego roku (a więc w kl. VII) było tomików 93, które kosztowały rs. 58 kop. 95½".

Pozatem notatka: „W lutym r. 1884. Książki kosztowały mnie rs. 77 kop. 82. Było tomów 138". „W marcu 144". Potem: „Do sierpnia 1884 (widocznie po maturze) tomów 173, co kosztowało 120 rubli".

Jednem słowem, wydawałem na książki w ciągu tych dwu lat ze swych skromnych dochodów po 5 rubli miesięcznie. Gdyby dziś każdy zamożny dom wydawał na ten cel, jak ja wtedy, 300 zł. rocznie, literatura nasza miałaby świetne podstawy materjalne. W budżecie moim, jak widzę w notesie, wydatek na książki wynosił 20% całego dochodu.

W dzienniczku swoim od nowego roku 1884 zacząłem notować tytuły książek przeczytanych.

W poprzednim roku wpisałem do kajetu na sześciu stronach bardzo porządne streszczenie Rewolucji polskiej 1794 r. Zajączka, z której dowiedziałem się wreszcie czegoś o rozbiorach. W klasie ósmej uznałem za konieczne streścić dokładnie Syntezę dwóch światów Struwego. Uczyłem się z tej syntezy, że religja sprowadza niebo na ziemię, a sztuka podnosi ziemię ku niebu. Sztuka jest liryką ludzkości. Gdy religja i sztuka podadzą sobie ręce, wtedy połączą się dwa światy: nadziemski i ziemski, boski i ludzki, idealny i realny.

Tak uczył Struwe, ale inaczej Bronisław Rajchman, którego broszurę o teorji Darwina zalecał studjować duch czasu. Rajchman pisał, i to zanotowałem do rozpamiętywania:

„Jak podług hipotezy fizyków eter wypełnia wszystkie przestwory pomiędzy atomami, tak religja zapełnia wszelkie luki poznania, praw i urządzeń społecznych Jak „natura nie znosi próżni", tak też nie cierpi jej umysł ludzki i ma stosowne do swego rozwoju zapełnienie".

A więc: prawda, wiedza! Ale cóż się stanie z religją, gdy tę wiedzę zdobędziemy?

Patrzę dzisiaj na te spisy rzeczy przeczytanych z pewnem niedowierzaniem, czy mogłem wiele rozumieć z tego wszystkiego. Gdzie się to wszystko podziało w umyśle? Bo przecież wielu rzeczy dziś nie wiem z tego, co pisał Büchner czy Ribot, a inne na nowo zdobywałem potem. Przypominam sobie, że ta lektura tylko raz wplotła się w naukę szkolną. Było to wnet po przeczytaniu książeczki Struwego o nieśmiertelności duszy. Z nauką religji, jak można wnosić z niektórych książek, które wymieniłem, nie wszystko działo się w myśl wychowawczą ks. prefekta Czerwińskiego. O naszych lekturach niewątpliwie coś wiedział i stosunek swój do mnie oziębił. Na lekcję religji przychodziłem nieprzygotowany, miałem wiele szacunku dla prefekta i niezmiernie się bałem jego surowości. To też przeraziłem się (było to pod koniec ósmej klasy), gdy wywołał mnie z listy. Pytanie dotyczyło nieśmiertelności duszy. Zebrałem wtedy w myśli całą swoją wiedzę książkową i wymieniłem dowody za Struwem. Ks. prefekt słuchał uważnie, ale nie widziałem w jego oczach zadowolenia, aczkolwiek bacznie mi się przyglądał, co mnie bardzo niepokoiło. Musiało być coś protestanckiego w tem, co mówiłem.

Jakże trudnu młodzieńcowi wymiarkować drogę, gdy każdy autorytet — nauczyciel, każda książka — czego innego o tem samem uczy, a wpływy katechizmu, podręcznika, publicystyki, literatury ważą się i ścierają, jak fale niespokojne między wiatrem a brzegiem, do którego młodość wyciąga ręce! Zdaje się, że jednak w tym wieku najwięcej jedności tonu nadaje duszy poezja, ściągająca umysł z dowolnych dróg mędrkowania na teren życia uczuć i popędów, który po wszystkie czasy będzie żywiołem decydującym o przyszłej postawie człowieka wobec świata i o jego charakterze.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „WARSZAWSKIEGO DZIENNIKA NARODOWEGO" pisał Roman Dmowski, iż „...cała Europa wieleby zyskała, gdyby święta trwały dłużej. Zwłaszcza przydałoby się jej, gdyby dłuższa była przerwa w ruchliwości polityków, w rozchodzeniu się depesz, w ukazywaniu się dzienników. Ludzie mieliby trochę czasu na zastanowienie się nad tem, co się dzieje w świecie..." Owo odruchowe uczucie ulgi na myśl o prawdziwej *Treuga Dei*, chwili spokoju od nękania ze strony przemądrzałej, zarozumiałej blagi dziennikarskiej jest wielce symptomatyczne. Współczesny świat dopuścił do głosu wyrokującego przy pomocy publicystyki, albo raczej typowej „roboty dziennikarskiej", radja i t. p. gromadę „zawodowych znawców", pouczających narody bez żadnej podstawy moralnej i umysłowej do wygłaszania decydujących sądów. Zręczność preparowania wiadomości, artykułów, a nawet wzmianek dziennikarskich jest często legitymacją działania jedyną... Stanowczo to zamało.

W ogniu codziennym „gradu depesz" zapominamy rzeczywiście o procesach historycznych miary ogromnej. Bardziej się czujemy ludźmi jednego dnia aniżeli jednostkami, scalonemi z jednym narodowym organizmem. Pozwala to zapomnieć przedewszystkiem o przeszłości i napawa przekonaniem dumnem i... durnem, że się od nas dopiero świat zaczyna. Niewątpliwie na tak ukształtowany światopogląd wpływa żydowska masa, rozlana po redakcjach i nadająca dzisiejszemu dziennikarstwu zdecydowane oblicze. Żydostwo, wierzymy, nierade powraca myślą ku przeszłości. Ale czemu inni przybierają pozę, którą rozumiemy tylko i wyłącznie u neofitów faktycznych, czy pozornych?

PRZYPOMNIENIE

PORZĄDKUJĄC papiery w mojej bibljotece natrafiłem na rocznik „Gońca Kaliskiego" z przed kilkunastu laty i tu wpadł mi w rękę opis apelu Tow. Powst. i Wojaków, organizacji przysposobienia wojskowego, jaką w pierwszych latach naszej niepodległości na terenie ziemi Kaliskiej organizowaliśmy, a na której czele stałem przez lat kilka jako prezes IV Okręgu.

Powstały wtenczas oddziały Powstańców i Wojaków: w Kaliszu, Turku, Kole, Warcie, Dobrej i Koźminku, niektóre liczyły po kilkuset członków i były naprawdę organizacją przysposobienia wojskowego, gdzie obok byłych wojskowych, przyjmowało się młodzież przed służbą wojskową, t. zw. junaków i wszystkich należycie ćwiczyło, co mogliby potwierdzić ówcześni oficerowie przysp. wojsk. pp. major Jess i porucznik Zieliński.

Ówczesny dowódca dywizji gen. Jasiński bardzo się pochlebnie wyrażał o Powstańcach i Wojakach swojego okręgu.

Oprócz stałych ćwiczeń, odbywały się co pewien czas na małą skalę manewry jak np. w jesieni 1925 r. Kiedy do mnie do Tłokini przybyło w wojskowym szyku kilka oddziałów Powst. i Wojak. a podwórze i zabudowania zamieniły się na koszary wojskowe lub fortece i pod komendą ówczesnego komendanta okręgowego, według planu ułożonego przez obecnych oficerów, odbyły się manewry.

Ponieważ może to być wymowny przyczynek do wystąpienia p. ministra Raczkiewicza przeciw Stronnictwu Narodowemu w sejmie i postawiony zarzut, że Obóz Narodowy nic nie zrobił dla przysposobienia wojskowego, pozwolę sobie przytoczyć urywek z feljetonu nr. 200 „Gońca Kaliskiego" zatytułowanego „wojna w miniaturze.

„Ciemna bezksiężycowa noc otuliła już skoszone łany i zabudowania Tłokini, zapraszając jej mieszkańców na odpoczynek po znojnej, całodziennej pracy. Cisza zupełna zapanowała w wiosce, gdzieniegdzie tylko jakiś burek przywiązany do budy warknie, dając znać swemu panu, że powierzoną sobie misję funkcję stróża chudoby wiernie spełnia. Mieszkańcy jednak nie śpią. Zaintrygowani szykowaniem kwater we dworze, oraz przybyciem oficerów, czekają z niecierpliwością przymarszu wojska. Przyjazd zaś wywiadowczego oddziału konnego jeszcze bardziej rozpalił ich ciekawość. Co za wojsko? I ile ściągnie jego do wsi? Już godzina 11-ta w nocy, a jeszcze powtulani w zakątki swych strzech, porozsiadani na ławach i progach, oczekują cierpliwie, czy wśród ciszy nocnej nie dojdzie do ich uszu śpiew żołnierskiej piosenki. W tem rozległ się głos: już idą!!!... idą... Tak to maszerowały 2 oddziały Powstańców i Wojaków, z Kalisza, których śpiew poprzez niwę ojczystą, od góry winiarskiej odbijał się donioślą kaskadą o ściany domostw Tłokini. We wsi zawrzało jak w ulu. Co chwila wybuchają radosne okrzyki: idą! idą!

Już słychać odgłos kroków. Śpieszą więc starzy i młodzi zobaczyć Synów Ojczyzny kochanych żołnierzyków. Już wkroczyli w zabudowania wiejskie, już widać zwarte szeregi oddziałów, maszerujących z pieśnią na ustach od samego Kalisza pod dowództwem drh. drh. Dąbrowskiego i Wierzbickiego. Z którego to pułku?, Która kompanja? Oto pytania jakie padały wśród oczekujących z nadzieją, iż może w tych szeregach znajdą bliskich krewnych lub znajomych. Lecz ciemności nie pozwoliły im odkryć tajemnicy gości nocnych, wkraczających na podwórze dworskie strzeżone przez stojącą w bramie wartę. I tak kolejno ściągały do punktu zbornego oddziały Powstańców i Wojaków z Kalisza, Koźminka, Turku i Dobrej, pod dowództwem swych Komendantów-druchów: T. Dąbrowskiego (Kalisz) L. Kossakowskiego (Koźminek), Pietrzaka (Turek) i E. Kozłowskiego (Dobra).

Po przedefilowaniu przed prezesem Okręgu IV p. I. Chrystowskim i Komendantem okręgu i złożenia raportu, udały się oddziały na kolację, złożoną z chleba i mleka, a potem na odpoczynek do stodół. Z upływem kilku godzin odpoczynku, w czasie którego Komendant okręgowy wydał rozkazy operacyjne poszczególnym komendantom kompanji, zarządzono alarm z nadzwyczajną szybkością wykonany przez wszystkie oddziały, a w szczególności przez oddział z Koźminka.

Świtało już, gdy oddziały w sprawnym szyku wymaszerowały z Tłokini na pole bitwy, żegnane przez gościnnego gospodarza p. I. Chrystowskiego, który podczas stałego postoju, bez chwili odpoczynku, troszczył się o wszystko dla

swoich druków. Plan bojowy opracowany przez oficera instrukcyjnego p. maj. Jessa miał na celu..."

Jeśli weźmiemy po uwagę, że T-wa Powst. i Wojak. na terenie ziemi Kaliskiej zdołały przez krótki czas po ich założeniu rozwinąć nader ożywioną i owocną działalność, to było to zasługą przedewszystkiem inicjatorów i organizatorów, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć muszę pp. Wincentego Orłowskiego z Michlina, znanego i zasłużonego działacza narodowego (b. prezes zarządu S. N. na powiat turecki), śp. Stanisława Orła z Kalisza, do śmierci czynnego członka Obozu Narodowego, śp. dr. Feliksa Krzymuskiego, prezesa koła miejskiego S. N. w Kaliszu, adw. Iwanowskiego b. prezesa koła miejskiego S. N. w Kaliszu i wielu innych, wszystko czołowi ludzie Obozu Narod. którzy nie szczędzili ani trudu, ani dużych ofiar na organizację Powst. i Wojaków. Nietylko bowiem sztandary ale i mundury, najem lokali i wewnętrzne ich urządzenie myśmy opłacali, członkowie bowiem rekrutowali się z najbiedniejszych sfer.

A poświęcenie sztandaru Powst. i Wojaków w Kaliszu 1925 r. było wielką, pamiętną po dziś dzień uroczystością, gdzie obszerny nowy park nie mógł pomieścić licznych delegacyj przybyłych z różnych stron kraju. Uroczystość zaczęła się Mszą św. polową. Przybyli do Kalisza: dowódca DOK. Poznań gen. Raszewski ze sztabem, kilku innych generałów i szereg wybitnych gości, tak wojskowych jak i cywilnych.

Trzeba dodać, że zupełnie inne to były czasy, nie było tego rozbicia naszego społeczeństwa, jakie dzisiaj obserwujemy.

Gdyby Obóz Narodowy nadal miał możność rozwijać rozpoczęte tak chlubnie dzieło na terenie przysposobienia wojskowego to i obronność naszego państwa niewątpliwie dużo lepiej by się przedstawiała.

Tłokinia IGNACY CHRYSTOWSKI

NAUKA i LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

„Gody życia" Adolfa Dygasińskiego ukazały się obecnie w piątem wydaniu.

Piękny ten poemat czterech pór roku, opiewanych tak, jak je widziała wyobraźnia znakomitego pisarza, cofnięta w czasy Polski pogańskiej, liczy już w literaturze naszej 35 lat. Na rok przed śmiercią Dygasiński ogłosił go bezpośrednio po napisaniu w „Kurjerze Warszawskim" (1901). Pierwsze wydanie książkowe ukazało się 1902 r.

Obecne wydanie wyszło nakładem księgarni Czesława Kozłowskiego w Warszawie w opracowaniu Władysława Wolerta, pod którego pieczą, jako męża jedynej córki znakomitego pisarza, pozostaje jego puścizna literacka. P. Wolert opracował starannie tekst według zachowanego autografu i korygowanej przez autora pierwszej edycji. Dodał na końcu przypisy i bardzo cenny słowniczek staropolskich wyrazów.

Z przypisów dowiadujemy się, że „Gody życia" przełożone są już na języki: niemiecki, czeski, włoski. Teraz ma nastąpić wydanie francuskie.

Należy się wdzięczność p. Wolertowi za te nowe polskie wydanie. „Gody życia" stale są poszukiwane nietylko na użytek szkół. Jest to jedno z podstawowych dzieł literatury polskiej i znajdować się winno w każdej bibljotece.

ZE ŚWIATA SZTUKI

„PLASTYKA"

„BLOK" zawodowych artystów plastyków, o którym pisałem niedawno, wydaje własne czasopismo, w postaci dwu miesięcznika (obecnie miesięcznika) pod nazwą: „Plastyka". W roku ubiegłym wydano 7 zeszytów, rozpoczynając wydawnictwo od czerwca 1935. Tegoroczny zeszyt 1 (Nr. 8 — 9, podwójny) wprowadza pismo w nowy okres kalendarzowy.

Ten czas należy uważać za próbny dla wydawnictwa, to jest taki, w którym winno przekonać się ostatecznie, czy ma trwałe podstawy do dalszego bytowania. Jest to również okres dostatecznie długi dla wyrobienia sobie pojęcia o charakterze czasopisma, jego zaletach lub ewentualnych wadach.

Obserwując rozwój „Plastyki", nie pisałem o niej dotychczas, świadom tego, że jej usterki, których miała sporo, nie wynikały bynajmniej ze złej woli lub nieumiejętności wydawców, lecz były poniekąd spowodowane okolicznościami określanemi zazwyczaj zwrotem: „z przyczyn od redakcji niezależnych..." Jedną z tych bolączek, której dotychczas nie udało się usunąć, są trudności finansowe. Pismo, wydawane własnemi siłami, niewiele może spodziewać się grosza z chudej kabzy artysty, a na prenumeracie wyłącznie żadne z pism, poświęconych plastyce, oprzeć swego bytu w Polsce, jak dotychczas, nie mogło. Więc w rezultacie: tak krawiec kraje jak materji staje.

Drugiem utrudnieniem, z którem redakcja stale się spotyka, jest niechęć braci artystycznej do pióra. Plastycy nieraz wiele mają do powiedzenia i jak się już zdobędą na „kawałek pisany," to się ich zazwyczaj czyta z przyjemnością, ale odstręcza artystów od pióra i przeraża sama technika pisania. Wymagając od siebie wiele na terenie własnej pracy, takie same zapewne żywią ambicje, biorąc pióro do ręki. A że przyjemniej im jest męczyć się nad obrazem, niż nad białą kartą papieru, więc w rezultacie... nie piszą.

Z powodu rozmaitych, wyżej przytoczonych „okoliczności łagodzących", przymykając oczy na, oby niepowrotne, usterki „Plastyki," wymieńmy zamieszczone w niej dotychczas artykuły wartościowe. Do nich należą, jeśli chodzi o zeszyty dawniejsze: „ABC gotyckie" dr. Michała Walickiego (N. 1, 1935 r.), „Tragedja współczesnego malarstwa" Mieczysława Schulza (Nr. 2 1935 r.), „Problem malarstwa żywicznego" M. Schulza (Nr. 5 — 6 1935).

Oba artykuły Schulza, profesora malarstwa ściennego w Miejskiej Szkole Zdobnictwa, pierwszorzędnego znawcy technik malarskich, poruszają niezmiernie ważną sprawę zupełnego nieliczenia się współczesnych malarzy z materjałem malarskim. Doskonałość techniczna malarstwa Renesansu oraz innych epok opiera się nie na jakichś specjalnych „sekretach", lecz na głębokiej znajomości technologji malarskiej i przestrzeganiu zasad tej wiedzy podczas pracy artysty. Potomność—konkluduje Schulz — nie wyda o naszem dzisiejszem malarstwie sądu ani dobrego ani też ujemnego, gdyż poprostu nie będzie w stanie — nasze obrazy do tego czasu djabli wezmą. Gdy

rzecz lub sprzęt dostarczony nam przez rzemieślnika, z powodu tandetnego wykonania zbyt prędko niszczeje, mamy słuszną pretensję do wykonawcy. Również od artysty mamy prawo wymagać, by obraz przez niego dostarczony nie zczerniał ani popękał po kilkudziesięciu lub nieraz nawet kilkunastu latach. Jeśli nazwiemy to nawet rzetelnością kupiecką, artysta nie ma powodu wstydzić się jej (wyobraźmy sobie np., że malował obraz do ołtarza w kościele).

Ostatni numer „Plastyki," a pierwszy tegoroczny, przenosi interesujący artykuł T. Cieślewskiego syna. Autor kreśli w nim dzieje „Rytu," z okazji dziesięciolecia tego stowarzyszenia grafików, a także z okazji ostatniej wystawy „Rytu" w IPSie w grudniu 1935 roku. Prace grafików z tego właśnie pokazu posłużyły Cieślewskiemu za materjał ilustracyjny do artykułu. Skreślony przez znawcę przedmiotu, również grafika, ma sporo zalet z tego tytułu wynikłych (np. wnikliwe charakterystyki niektórych kolegów). Jednocześnie w części informacyjno-statystycznej nie wolny jest od pewnych błędów i nieścisłości. Ponieważ zebrany przez Cieślewskiego materjał może się przydać przyszłemu historykowi sztuk graficznych w Polsce (miał to zapewne C. na uwadze), pozwolę sobie przeto na sprostowanie dostrzeżonych omyłek.

Perkowski Józef nie należy do członków — założycieli „Rytu," jak to możnaby wnioskować z tekstu na str. 152, czemu zresztą sam Cieślewski przeczy na str. 158; dalej Cieślewski, zajmując się obliczaniem, ile kto wystawił rycin na każdej z wystaw „Rytu" pisze: „w roku 1929 Krasnodębska-Gardowska wystąpiła z 7 drzeworytami."

O ile mi wiadomo, Gardowska wystawiła wtenczas 6 drzew. barwnych, oraz 14 drzew. ręcznie kolorowanych, p. t. „Droga Krzyżowa." Razem — drzeworytów 20. Ponieważ C. pisze, że tylko 7, z tego wnioskujemy, że 14 wielkich rycin do „Drogi Krzyżowej" uważa za j e d e n (!?) drzeworyt. Jeśli przyjmiemy, że Cieślewski ma taki „system" obliczania (bo trzeba jakiś system wziąć za podstawę), to dlaczego nie stosuje go także do Wąsowicza, licząc (słusznie) tekę, zanotowaną w katologu, również jak i u Gardowskiej, pod jednym numerem (90) za 10 prac? O sobie autor pisze, iż wystawił wtenczas drzeworytów 18, tymczasem katalog ich wymienia 12. Może C. wlicza do tych drzeworytów plakat, robiony przez siebie na tę wystawę, w takim razie powinien go zaliczyć również Gardowskiemu, autorowi plakatu z pierwszej wystawy „Rytu." W ogólnem jednak podsumowaniu przy pozycyj „Gardowski" znajdujemy tylko cyfrę: 2 („Faust" i „Satyr i bachantka," z ostatniej wystawy). Nie wiem także, czy słuszne jest nieuwzględnianie, w tej ogólnej sumie rycin, naszego udziału w międzynarodowej wystawie drzeworytów z roku 1933-go.

Powróćmy do jeszcze jednej pozycji niefortunnego bilansu. Przy nazwisku Rzeckiego nie znajdujemy żadnej cyfry, to znaczy, iż ten artysta nic nie wystawiał. Tymczasem już pierwszy katalog „Rytu", 1926 roku, notuje 5 jego wystawionych drzeworytów. W tych obliczeniach (str. 176) znajduję także wzmiankę, że najliczniej obesłaną była wystawa „Rytu" 1929-tym roku i wystawiono wtenczas 90 rycin. Mój Boże! Ta sama wystawa zawierała wedle relacji Cieślewskiego, na str. 154, r y c i n 110. Po drodze od str. 154 do str. 176 znikło 20 rycin! By sobie jakoś te stratę wynagrodzić C. dodaje zato, na str. 176, jedenastego artystę (Katalog wymienia dziesięciu). Który z moich kolegów rozdwoił się — nie wiem; katalog nie wspomina.

Nie, stanowczo ta statystyka nie udała się koledze Cieślewskiemu, bałamutne cyfry psują skądinąd dobry artykuł. Ozdabiają go pozatem i podnoszą jego wartość liczne reprodukcje drzeworytów. Numer uzupełnia kronika.

Z ostatniego zeszytu odnosimy wrażenie, że „Plastyka" ustaliła już swój „tryb życia," że się tak wyrażę, i z każdym następnym numerem będzie zyskiwała na wartości.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„SPADKOBIERCA"

TEATR Narodowy wystawił komedję Adama Grzymały-Siedleckiego — „Spadkobiercę". Utwór ten pozostaje w związku z powieścią, pisaną przed kilkunastu laty.

Ma on swoją historję w duszy autora. Jako wytrawny artysta umie tak rzecz tworzoną oderwać od siebie, że wygląda ona na obrazek, z żywych zdarzeń skopjowany. Ma przytem tyle humoru, właściwego naturom głębokim, że widz teatralny jest tym łupem swych pożądań zabawy tak zajęty i tak zadowolony, iż nie troszczy się o przeżycia autora. Czuje się bohaterem wieczoru, jako że z myślą o jego rozrywce sztuka pisana. Śmiech, zadowolenie jest celem uczty, ale o tem, ile uczta autora kosztowała, to tylko on sam wie—no i krytyk...

Siedlecki usuwa się dyskretnie sprzed teatralnej rampy. Mógłby łatwo zająć widzów swoją osobą, gdyby wciągnął ich w świat swoich refleksyj, zmoralizował ich, lub zmusił do odszukiwania symbolu, przynajmniej znaczenia dziejowego przedstawionych zdarzeń. Publiczność niewątpliwie spospępniałaby — byłby to już wykład. Siedlecki tego nie lubi. Wierny jest Fredrze, który tego nie robił, a zato przez sto lat wpatrują się potomni w jego obrazy, aby odnaleźć i znaczenie i morał, i symbol ówczesnego życia. Czemże był Ibsen, jak nie doraźnym wykładem znaczeń, stawianiem kropki nad i. Owa kropka — czapka niewidka symbolu — robiła swoje i publiczność zasępiała się, może wszystko zrozumiała, ale jakby ją to uraziło, przestawała się dziełem interesować.

Tak, Siedlecki jest sam „Spadkobiercą", dziedzicem dobrych tradycyj teatru polskiego. I czegoś więcej — ducha literatury polskiej. Pisarz nowożytny, umiejący oddawać co jest sztuką—sztuce, a co publicystycznego — dziennikarstwu. Pamiętajmy, że jest to pisarz, który czasu wojny potrafił wziąć na siebie rolę dziennikarskiego reportera z pola walk i napisać prześliczną książkę „Cud Wisły" (1920) i że statywem, na którym opiera swój kąt widzenia świata, jest duch społeczeństwa. Patrząc na Samosęki, gdzie się komedja odbywa, widzi misterjum p r z e m i a n, dokonywających się w życiu polskiego społeczeństwa i dlatego interesują go dziejące się dramaty. Dramatem jest dla niego żegnanie starych form, potrzebą optymizmu życiowego — witanie form nowych, rezultatem—filozoficzny humor komedji.

Cóż się dzieje w Samosękach? To jakby jego przecież wioska dziedziczna, potomka Grzymałów-Siedleckich, szlachty ziemi proszowskiej. Zeszedł ze świata ostatni dziedzic w stylu szlacheckim, legendarny prezes Tow. Kredytowego Ziemskiego, nie umiejący wychowywać w sposób nowoczesny spadkobierców. Siłą rzeczy, zmieniających oblicze dawnego świata, zapełniają dziś dwór nowi ludzie bądź zamerykanizowani, jak ów „spadkobierca" Obierzyński, mający już ręce muskularne i zgrubiałe od nagniotków pracy, bądź z niż-

szych sfer dawnych oficjalistów z pierwiastkiem ludowym w obyczaju. Oto klucznica staje się panią domu. Plączą się jeszcze pół-rezydenci na łaskawym chlebie: Siekierka z synem, z tragicznym humorem reprezentujący dawną szlachecką „poczciwość“ bez charakteru, rozchwianą w lekkomyślności i nygusostwie. Ale usuwa się z tego towarzystwa, dawny kamerdyner pochodzenia ludowego, bo to i mebel niepotrzebny, i zresztą synowie (lekarz i profesor) nie pozwalają mu poniżać się w służbie lokajskiej. Takie czasy nastały—synowie lokaja patrzą już z góry sfer oświeconych na to, co się dzieje we dworze wiejskim, skąd dawniej promieniowała kultura.

Ferment społeczny, ale jakże dobroczynny, jeżeli spojrzeć na stosunek nowych ludzi do chaty wiejskiej. Stosunek wyrównany argumentem siły. Przy pierwszej scysji amerykanin chwyta za widły; to imponuje; wywiązuje się przyjaźń—coś w rodzaju braterstwa między spadkobiercami Polski. Niema dramatu; autorowi śpieszno, aby w finale zatriumfował nad sytuacją okrzyk, zwiastujący odrodzenie życia: do pracy!

Było to w r. 1923, pełnym jeszcze optymizmu i najlepszych chęci pospolitego ruszenia do dzieła budowania Polski. Autor „Cudu Wisły” krzepił się krzepotą Pomorzan i Wielkopolan, patrząc w Bydgoszczy na możliwości wciągania do pracy rozbitków z kresów wschodnich i wytwarzania mieszczaństwa polskiego. Napisał wtedy kapitalną powieść „Miechowiec i Syn“. Czy wierzy jeszcze w cuda waleczności z mozołu, to znaczy — czy życie nastręcza mu w tej dobie natchnienia tej wiary, to się pokaże z dalszej twórczości.. To pewne, że „Spadkobierca” w tak krótkim okresie już zdołał się stać dokumentem historycznym czegoś, co było i nadłamało się.

Wracajmy jednak do teatru. Przedstawienie „Spadkobiercy” było znakomite. Słychać, że w teatrze co wieczór pełno, a publiczność oczarowana jest atmosferą swojskości, i — rzekłbym — moralną melodyjnością wizji człowieka. Spragnieni jesteśmy widoku człowieka, a Siedlecki robi wszystko, abyśmy sympatji do niego — pomimo wszystko — nie tracili. Ileż wydobył człowieczeństwa z takiej ruiny moralnej, jak p. Siekierka.

Oczywiście zasługę dzielą z autorem reżyser (Stanisławski) i artyści. Obsada ról — doborowa. Dość powiedzieć: w rolach głównych występują: Ćwiklińska (Katarzyna), Węgrzyn (Obierzyński), Zelwerowicz (Siekierka), Kawińska, Janecka, Żeliska, Dominiak, Łapiński, Hnydziński.

Obsadą i starannością gry dano dowód szacunku dla autora. Z. W.

MUZYKA

FILHARMOMJA — W fakcie układania *Missa Solemnis* przez nieszczęśliwego, dotkniętego głuchotą Beethovena jest coś doprawdy wstrząsającego. Rzeczywiście — „z serca i do serca płynie“ jak pragnął artysta. Tylko że nigdy nieczujemy skurczu podobnie bolesnego, jak ten, który towarzyszył tworzeniu dzieła, co to usłyszeć mógł Beethoven jedynie mocą genjalnej wyobraźni... Nie jesteśmy w stanie.

Mówią, że *Missa* nie odpowiada celom liturgji, że jest za duża, jeśli idzie o rozmiary. Wiemy, że rozrosła mu się ona w rękach, spotężniała. Spóźnił się przecież z terminem. Sam sobie wprawdzie ten termin wyznaczył. Opóźnienie było niebylejakie — całe trzy lata. Dzień intronizacji na tron arcybiskupi arcyksięcia Rudolfa dawno już minął. Utwór nie przestąpił gmachu kościelnego, a — według opinji wszystkich — w żadnym zmieścić się nie może. Czy naprawdę? Czy rzeczywiście zeświecczyć go musimy każdorazowo przez wykonanie na deskach estrady? Czy koniecznie musimy w chwilach jej wykonywania ograniczyć się do przeżyć tylko i wyłącznie natury estetycznej?

Sądzę, że nie. Stanowczo nie. Wyobraźmy sobie nabożeństwo w skali monumentalnej, mszę najsolenniejszą z solennych, choćby na uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego!

Mówią, że jest jak na dzieło kościelne zbyt subjektywna. Nie mogło być inaczej. Objektywizacja wypływa zawsze albo na skutek budowania w ramach wytworzonej, ustabilizowanej maniery, albo przez wprzęgnięcie siebie w jednaki tłum, unicestwiając swoje „ja“ przez choćby wysubtelnioną cnotę pokory. Beethoven był indywidualnością, co więcej—był, mniejsza świadomym czy nieświadomym, pionierem indywidualizmu. Czy jednak Msza nie wyrosła na podłożu wiekowych tradycyj? Czy artysta nie był tylko jednym z pokolenia, a pokolenie owo jednem z idących w nieskończoność pokoleń?

Missa, podobnie jak cała niemal twórczość beethovenowska oparta jest na motywie, z którego wyrasta bogactwo architektury całości. Jest w tem coś z piękna i prawdy ewangelicznej przypowieści o ziarnku gorczycznem.

Dobrze, iż Filharmonja nie podtrzymuje warszawskiego zwyczaju, wyróżniającego w Wielkim Tygodniu z całej religijnej literatury muzycznej... „*Stabat Mater*“ Rossiniego. Budapesztański chór im. Palestriny pod dyrekcją Viktora Vaszy i z stowarzyszeniem orkiestry filharmonicznej wywiązali się z zadania zadowalająco.

Partje solowe wykonali artyści królewskiej opery w Budapeszcie: Bodo Erzsébet (sopran) Basilides Marja (alt), Szekelyhidy Ferenc (tenor) oraz Mezey Zsigmond (bas). W. NARUSZ

FILM

ATLANTIC: „Kapitan Blood“ reż. M. Curtiz.

Bardzo smaczne malowidło, o romantycznym pokroju, zrobione z brawurą i rozmachem. Pyszne zdjęcia, dobra kompozycja tych zdjęć w prostokącie ekranu, wartkie tempo, dużo ruchu i plenerów. To wszystko sprawia, iż film zdobywa nas przedewszystkiem swemi wartościami wizualnemi, w których nie brak pierwiastka malarskiego, o bezspornych walorach artystycznych.

Treść, oparta na powieści Sabatiniego, opiewa przygody korsarzy i ma za tło Anglję z końca XVII-go wieku, za panowania okrutnego Jakuba II-go. Aby utrzymać sympatję widza po stronie korsarzy, bohaterów tej powieści filmowej, i nie narazić zarazem na szwank jego poczucia sprawiedliwości, korsarzy uczyniono z ludzi niesłusznie ciemiężonych i skazanych przez króla na katorgę niewolniczego żywota w kolonjach angielskich. Reżyser unika jednak barw zbyt czarnych, obrazów zbyt ponurych i traktowania tematu zbyt serjo. Nie wkraczając taktownie w dziedzinę dramatu, nadaje tej romantycznej, niefrasobliwej przygodzie ton raczej pogodny.

Bardzo to przyjemny film i będzie się podobał, zwłaszcza malarzom i młodzieży. Warto zaznaczyć, iż piękne zdjęcia są tu zasługą operatora Hallera.

BAŁTYK: „W cieniu gilotyny“ reż. Jack Conway.

Kto był na tym filmie, zaraz po obejrzeniu „Kapitana Blooda“, miał dobrą okazję do zastanowienia się nad tem, dlaczego operując podobnem tworzywem, mając do rozporządzenia te same możliwości techniczne i nawet odtwarzają temat, z pokrewnej kategorji utworów filmowych, poczęstował nas reżyser, w tym wypadku, utworem nieudanym? Odpowiedź może być prosta i jednocześnie niewiele objaśniająca: widocznie jest gorszym reżyserem. Zastanówmy się więc lepiej, na czem ta „gorszość“ polega? I tu i tam twórca filmu miał do rozporządzenia wielu dobrych aktorów, armję statystów, cały sztab pomocy technicznej. Na nic jednak pierwszorzędny materjał, gdy się go niewłaściwie używa i nieumiejętnie stosuje dla odtworzenia obranego tematu. Mając za temat rewolucję francuską, trzeba było, w szeregu charakterystycznych scenek, ukazać okoliczności, w których rewolucja kiełkowała, narysować obraz krzywdy pewnych warstw społeczeństwa. Obraz ten powinien nas wprowadzić w epokę i środowisko, ułatwić zrozumienie przyczyn rewolucji (dwie sceny: przejechanie dziecka na ulicy i karmienie psów królewskich mięsem, wobec głodnego ludu, to stanowczo zamało).

Zamiast tego pokazano nam nieciekawe, osobiste perypetje jednej rodziny, jakiś romansik, który niesłusznie urasta do roli zdarzenia pierwszoplanowego. W drugiej połowie filmu, sąd i sceny zbiorowe rewolucji, wyreżyserowane według zbyt już uproszczonego szablonu, nie posiadają należytej dynamiki i nie zalecają się nawet wartościami wyłącznie wizualnemi. Pewne walory francuskiej „*image populaire*“ posiada scena zdobycia Bastylji.

KANDYD

POKŁOSIE

RACHUNKI ZA RZEKOME ZASŁUGI

SPRAWĘ emerytów i nadmiernego ciężaru, jaki z tytułu ich zaopatrzenia spada na skarb państwa, oświetlano w ostatnich czasach z wielu punktów widzenia. Zwracano uwagę i słusznie na niczem, oprócz względów partyjnych, nieusprawiedliwione przenoszenie na emerytury urzędników w pełni sił i stworzenie w ten sposób kategorji młodych emerytów, nigdzie poza Polską nieznanej (chyba w niektórych specyficznych wypadkach, jak np. w Niemczech przedwojennych, gdzie w celu odmładzania korpusu oficerskiego pensjonowano wielu oficerów, mniej zdolnych, na przejściu od kapitana do majora; nazywało się to „*gefährliche Majorsecke*“). Głosy, wskazujące na te nadużycia, nie wywarły oczywiście żadnego skutku: system nie może przecież potępiać samego siebie.

Z tem większą zato gorliwością rozpowszechniano w opinji przekonanie o wielkich ciężarach, jakie ponosi Polska na zaopatrzenie emerytów, którzy większość swych praw nabyli w państwach zaborczych, i w tym kierunku wydano rozporządzenia oszczędnościowe, redukujące nieraz w sposób drastyczny pobory tych osób. Nie ulega wątpliwości, że zarządzenia te dotknęły w ogromnej większości wypadków ludzi starych, do pracy zarobkowej niezdolnych, którzy przez wiele dziesiątków lat spełniali funkcje w życiu każdego społeczeństwa konieczne i względem których wyrażenie „służba rządom zaborczym“ nie ma żadnego sensu.

Jest jednak jeden „aspekt“ tej sprawy, na który mało się zwraca uwagi w dyskusjach publicznych, a jednak jest on z punktem widzenia moralnego zdrowia narodu pewno najważniejszy. Mamy tu na myśli niesłychaną zdolność i sprawność, jaką pewna część naszej inteligencji wykazała w procesie „przyssawania“ się do skarbu publicznego, państwowego czy samorządowego i zapewniania sobie bezstroskiej egzystencji przez wystawienie Polsce rachunku za pracę i zasługi w czasie przed odzyskaniem niepodległości, zasługi, które najczęściej istniały tylko w imaginacji zainteresowanych, a w wypadkach lepszych sprowadzały się do zasług partyjnych. W początkach odbywającej się obecnie akcji oszczędnościowej, kiedy zaczęto mówić o obcinaniu poborów urzędniczych, usłyszeliśmy o t. zw. legjonie zasłużonych t. j. o kilkuset osobach, które likwidują swoją poprzednią działalność ideową przez gromadzenie w swojem ręku wielce lukratywnych posad, dających fantastyczne, jak na nasze stosunki, dochody. Zapowiedziano nawet ogłoszenie listy tych mężów zasłużonych, ale niebawem to jakoś ucichło; pewno podziałała jakaś solidarność i opinja nie tak rychło dowie się o prawdziwym stanie rzeczy.

Ów legjon zasłużonych jest oczywiście zjawiskiem bardzo jaskrawem, świadczącem jaki to w pewnych sferach jest mały krok od ideowości do zapobiegliwości, ale tych kilkuset wielkich łowców nie wyczerpuje zagadnienia. Ustawa emerytalna z 1923 roku dopuszczała zaliczenie do wymiaru emerytury poprzedniej pracy w granicach 20 lat. Bodaj w r. 1933 sejm odmówił zaopatrzenie tym nauczycielon, którzy pracowali w czasach niewoli w szkolnictwie tajnem, ale poprzednio urzędnicze komisje weryfikacyjne nie były tak surowe dla swojej braci i z dobrodziejstw ustawy korzystano bardzo wydatnie, aby poprawić sobie widoki na emeryturę. Zaliczano dodatkowe lata bardzo liberalnie, tak że po paru latach działania ustawy wartość kapitałowa zaliczeń dodatkowych lat do emerytur, obliczona na podstawach rachunku ubezpieczeniowego, wyniosła półtora miljarda złotych. W ministerstwie Pracy i Opieki zaliczono w tym czasie 150 osobom 843 lat służby, w min. Rolnictwa 719 osobom 5351 lat, przyczem im wyższa kategorja urzędników, tem więcej zaliczonych lat przypada na głowę. A czem się kierowano przy tych zaliczeniach, obarczających skarb państwa ciężarami, jakim obecnie sprostać nie może? Rozejrzenie się wśród znajomych przekona każdego, że komisja weryfikacyjna, rewidująca postanowienia poprzedniej weryfikacyjnej, miałaby wiele do czynienia, ale to utopja.

Samorządy nie dały się też zapędzić w kozi róg w bezceremonjalnem obdarowywaniu z publicznej kieszeni. I czynią to dalej. W Krakowie jest wniosek, aby ze względów oszczędnościowych skasować kredyt na tradycyjnego trębacza na wieży Marjackiej, ale jednocześnie proponuje się podwyższenie poborów prezydenta i wiceprezydentów, mimo że są oni bardzo dobrze uposażeni, a p. prezydent Kapelner otrzymał w ubiegłym roku prawo do emerytury z zaliczeniem ponad 20 lat do wysługi... Według statutu emerytalnego m. Warszawy pracownik gminny może sobie dokupić lata emerytalne. Jest to operacja dopuszczalna, aczkolwiek praktykowana w wielkich rozmiarach musi skrzywić kalkulację ubezpieczeniową, gdyż stwarza duży procent uprawnionych do pobierania wyższych emerytur przez czas dłuższy niżby to po wysłużeniu normalnych lat wypadało. Ale to jeszcze nic w porównaniu ze sposobem, w jaki to dokupywanie lat się odbywa: mianowicie zainteresowany ma opłacić 3% od uposażenia (normalna wkładka emerytalna wynosi 9%) ale nie potrzebuje wnosić tej opłaty odrazu, tylko mu ją potrącają od wypłat miesięcznych. W takich warunkach jest to poprostu darowizna z kasy miejskiej, upozorowana jedynie opłatami, które nie mogą pokryć nawet drobnej części świadczeń.

Tak oto tysiące osób usadowiły się wygodnie na skarbie publicznym. Ogół przepłaca za nieistniejące zasługi olbrzymie sumy, nie pozwalające na zaspokojenie innych pożytecznych i pilnych potrzeb.

Emerytury w Warszawie wynoszą 16 miljonów rocznie t. zn. prawie piątą część budżetu. W Krakowie wydatki osobowe wynoszą ponad 6 miljonów na 15-miljonowy budżet. Obcięcie filutom wyłudzonych poborów pozwoliłoby miastom na niejedno. Ale nad materjalną stroną kwestji góruje jeszcze niewątpliwie jej strona moralna.

ARGUS

NA MARGINESIE

— Skąd się wziął wśród be-be taki wzrost filosemityzmu i sympatyj bolszewickich?

— Odkąd zaczęto kłaść nacisk na polityczne wykształcenie be-be, poczytność „Płomyka“ znacznie się wzmogła. To są skutki właśnie tej lektury.

*

„Czas“ zamieścił artykuł o konieczności zajęcia się na serjo sprawą żydowską przy współdziałaniu państwa. Artykuł zrobił wielkie wrażenie w kołach sanacyjnych, a zainteresowanie to wyraziło się wnet w planach upaństwowienia antysemityzmu.

Wynikły różnice zdań, czy to ma być specjalny fundusz czy też departament, jakie mają być etaty i czy nie należałoby, dla zachowania bezstronności, na naczelne stanowisko powołać żyda. O ten ostatni punkt rozbiły się narady.

*

„Polskie Radjo“, kończąc tegoroczną audycję wielkosobotnią, postanowiło życzyć swoim słuchaczom wesołych świąt. Obawiano się jednakże wspomnieć wyraźniej o Wielkiejnocy: dla publiczności, dajmy na to, mojżeszowego wyznania aluzja taka mogłaby się wydawać nietaktowną, zaś p. Lilienfeld-Krzewski dba skrupulatnie o to, aby na powierzonym mu posterunku radjowym zachować stanowisko ponadnarodowe, ponadkościelne — słowem: państwowościowe.

Namyślono się więc i *speaker* powiedział: „Dobrego jutra!“ *(a giten morgen)*...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.